

Podbereski Romuald. - Przygody
Yowicka co sprzedał swój cień. -
Wilno 1850.

814



PRZYGODY CZŁOWIEKA, CO SPRZEDAŁ SWÓJ CIEN.

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

(Mysł z niemieckiego).

PRZEZ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

W i l n o.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1850.



CO SPRZEDAŁ SWOJ CIEŃ.

OWIEŚC FANTASTYCZNA

Drukować pozwolono z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy. Wilno dnia 17 Lutego 1850 roku.

Spraw. Obow. Cenzora Radzica Kolleg. i Raw.

A. MUCHIN.

XXXX

KOMITETA CENZURY

WILNO
BIBLIOTEKA
ul. Nowy Świat Nr 12
60-330 Wilno
Tel. 28-88-88

(Wyjątek z Pamiętnika Naukowo-Literackiego na rok 1849, T. I. Zeszytu II.,
i na rok 1850, T. II. Zeszytu V.)

KOMITETA CENZURY

2689

5. 10.

DILECTAE DICATUM

ET NUNC ET SEMPER.

Wilno.
3 Maja 1850 r.

DILECTAE DICATUM

BY MUNDUS CERNITUM

1850

PRZYGODY CZŁOWIEKA,
KTÓRY SPRZEDAŁ SWÓJ CIEN.

POWIEŚĆ

FANTASTYCZNO-KALIFORNIJSKA.

(Pomysł z Niemieckiego).

I.

Po szczęśliwej lecz utrudzającej podróży na morzu, dobra-
liśmy się nareście do portu. Jak tylko okręt nasz przybił do brze-
gu, zarzuciwszy cały mój majątek na plecy, przeciskałem się przez
tłum ludu, aż póki niepostrzegłem szyldu zajezdnego domu, do
którego wszedłem, ośmielony nie nader okazała jego powierzch-
wnością. Kiedy spytałem o pokój, sługa zmierzwszy mię od
stóp do głowy, poprowadził na najwyższe piętro. Poprosiwszy
szklanki zimnej wody, chciałem aby mi wskazał mieszkanie ban-
kiera Sobka.

— Za rogatkami od strony północnej pierwsza *willa* na pra-
wo: obszerna, nowa, z białego marmuru, z kolumnami.

Było jeszcze wcześniej; rozpakowałem więc mój mantelzak, do-
byłem nowo-przenicowany z czarnego sukna surdut, ubrałem się
jak mogłem najlepiej, wziąłem listy rekomendacyjne i udałem się
do człowieka, na którym spoczywały wszystkie moje nadzieje.

Przeszedłszy długą północną ulicę, postrzegłem ogromną kolumnadę, wyglądającą z po za zielonych gałęzi.

— Zapewna tam, pomyśliłem.

Potem chustką od nosa otarłszy pył z butów, poprawiłem halsztuch, i przeżegnawszy się pociągnąłem za sznurek. Drzwi otworzyły się i Szwajcar zapytał w przedpokoju: kto jestem i czego potrzebuję?— Poszedł i opowiedział, a ja miałem honor być zaproszonym do parku, gdzie bankier był wtedy z gośćmi. Po zadowoleniu, które jaśniało na twarzy, natychmiast poznałem gospodarza. Przyjął najgrzeczniej,— jak tylko może przyjmując bogacz człowieka biednego, potem obrócił się, lecz tak grzecznie, że nie stanawszy tyłem do gości, list mój przyjął.

—«A! to od brata, dawno już nie miałem od niego wiadomości. Czy zdrow? Co tam słychać?»

I nie czekając odpowiedzi odwrócił się do gości, a pokazując listem na wyniosłe miejsce, kończył mówiąc: tam właśnie mam zamiar dóm wybudować. Potem złamał pieczęć, ale nie przerywał rozpoczętej rozmowy. «Tak, zapewna, kto ma mniej niż milion, ten jeszcze nie może nazwać się bogatym.»

—«Och, jakże to słusznie!» wyrzekłem z westchnieniem. To się mu podobało, uśmiechnął się do mnie i rzekł: «Zostań tu przyjacielu, może znajdę chwilkę udzielić ci niektórych myśli moich w tym przedmiocie, rzekł wskazując na list włożony już do koperty, i znowu obrócił się do gości. Podał rękę młodej damie, inni mężczyźni uczynili toż samo innym damóm; przerwana rozmowa znowu się zawiązała, i wszysej udali się ku klombowi, osadzonemu różami.

W liczbie ich i ja, mileżkiem, niedokuczając nikomu swoim dowcipem, na palcach posunąłem się za nimi. Towarzystwo było w wesołym humorze; żartowano, śmiano się, mówiono z powagą o rzeczach dziecinnych, a podzielnemu o rzeczach poważnych; szczególnie odzywano się z obojętnością o nieobecnych przyjaciółach i stosunkach z nimi. Dla mnie wszystko to było zupełnie nowem; wielu rzeczy zgoła nie pojmowałem, a zanadto miałem wówczas frasunków na głowie, abym był w stanie rozwiązać owe zagadki.

Nareszcie przyszliśmy do różanego klombu. Prześlicznej Mery, królowej dnia tego, koniecznie chciało się samęj zerwać gałązkę z różą; ukłóła palezyk, i szkarłat, jak pasowa róża, ściekł po przesłicznój ręce. Straszny ten wypadek wzruszył całe towarzy-

stwo. W jednej chwili zjawił się angielski plaster. Ciekławy, chuderlawy, wysoki i milezący staruszek, któremu dotąd niezauważał, zjawił się z boku, szybko sięgnął do wąskiej lecz długiej po kolana kieszeni swego szarego, staro-francuzkiego kroju fraku, dobył pugilaresik, i z niskim ukłonem podał damie gojący plaster. Dama przyjęła niepodziękowawszy, nawet niespójrzawszy na niego: rączka była przewiązana i wszyscy ruszyli dalej, ku wzgórz, z kąd był przepyszny widok na park i okazałą zatokę morską.

W rzeczy samej widok był zachwycający! Pomiędzy ciemnymi falami i lazurem niebios, migiała na horyzoncie biała plamka. «Perspektywę! zawołał Pan Sobek, i wprzód nim który ze służących poruszył się na ten wykrzyk, ów szary staruszek pokornie się nachylił, zapuścił rękę do kieszeni, dobył z niej ładną perspektywę i podał Panu Sobkowi. Pan Sobek natychmiast zbliżył ją do oczu i objaśnił gościom, że drżący w oddaleniu punkcik, jest to okręt, który przed dwoma dniami wypłynął, i teraz został przeciwnym wiatrem zatrzymany na przeciwko portu. Perspektywa przechodziła z rąk do rąk, ale niepowróciła do właściciela; z podziwieniem oglądałem na tego człowieka i pojąć nie mogłem, jakim sposobem tak ogromne narzędzie mogło się pomieścić w tak małej kieszeni; innym wszakże gościom to wcale nie wydawało się dziwnym, i na staruszka tyle zwracano uwagi, co i na mnie.

Podano lody i w drogich naczyniach rzadkie owoce z dalekich klimatów. Pan Sobek zrobił mi honor lekkim skłonieniem głowy i rzekł: «niech Pan skosztuje, tego na morzu nie dostać!» Odpowiedziałem ukłonem, ale on już z innymi rozmawiał. Goście chcieli usieść na darninie, na pochyłości wzgórza, naprzeciw malowniczego pejzażu, ale przeszkadzała wilgoć ziemi. «Jakby to było dobrze tu nam podostać kobierzec,»— rzekł któryś z gości. Za ledwo to było wymówione, już ręka staruszka sięgła do kieszeni, i on z całą pokorą i skromnością, wyciągał z niej przepyszny, złotem haftowany turecki dywan. Słudzy bez oznaki najmniejszego podziwienia, jakby to była rzecz zwyczajna, wzięli dywan za kołce, i rozstali go na wskazanem miejscu. Znowu pełen zadziwienia oglądałem, to na starca i jego kieszeń, to na kobierzec więcej dwudziestu łokci długości a dziesięć szerokości mający, i tak świetny, że aż oślepił oczy: inni zaś nie okazywali najmniejszego podziwienia.

Bardzo byłem ciekawy wiedzieć kto był ów starzec, chciałem się zapytać, ale do kogoż było z pytaniem się obrócić? byłem

w tém zgromadzeniu więcej nieśmiały ze sługami Panów niż z Panami sług. Wreście nabrawszy ducha, zbliżyłem się do młodzieńca, który, jak się zdawało, nie był tak ważną figurą jak inni, i ciągle trzymał się na ustroniu. Spytałem więc z cicha: kto jest ów usłużny staruszek w szarym fraku staroświeckiego kroju?— «Czy nie ten, co tak podobny do siarczanéj zapałki?— Tak, właśnie ten sam, co stoi na ustroniu.»— Nie znam go weale, odpowiedział unikając dalszej rozmowy młodzieniec, obrócił się i zaczął pytać o to drugiego.— Słońce zaczęło mocniej dogrzewać, i damóm zrobiło się gorąco. Prześliczna Mery od niechcienia obróciła się do staruszka, z którym dotąd nikt jeszcze ani słowa nieprzemówił, z dziwném pytaniem: «Czy nie masz tam u siebie w kieszeni namiotu?»— Z niskim ukłonem, jak gdyby mu oddawano honor niezasłużony, sięgnął do kieszeni, wyjął płótno, kołki, sznury, goździki, słowem wszystko co potrzeba dla rozbicia wielkiego namiotu. Młodzież pomogła rozciągnąć płótno, i namiot zajął więcej miejsca niż kobierzec; wszakże nikt nieznajdywał tego dziwném.

Mnie samemu zaczynało to wydawać się mniej dziwném, mniej tajemniczym; ale cóż się ze mną działo, gdy wkrótce na żądanie gości, dobył z kieszeni troje angliczowanych koni... tak, powiadam wam, troje prześlicznych, rostrych rumaków, z siodłami i rzędami!.. Wyobraź tylko sobie, dla Boga! wyjąć troje osiodłanych koni z téj saméj kieszeni, z której już był wyjęty pugillares, perspektywa, wyszywany kobierzec i namiot ze dwadzieścia łokci długości, z kołkami, goździami, sznurami!.. Wszak nigdybyście mi nie uwierzyli, gdybym się nie pobożył przed wami, żem to wszystko widział na własne oczy?— A sam staruszek wydawał się tak uniżonym, tak zażenowanym, tak skromnym, tak nie chcącym zwrócić na siebie uwagi innych! co do mnie, blada twarz jego od której oczu oderwać nie mogłem, wydała się tak przerażającą, że nie mogłem dłużej wytrzymać jego obecności.

Postanowiłem nieznacznie oddalić się z tego towarzystwa, co przy nic nieznaczającéj méj roli, zdawało się rzeczą nie trudną. Chciałem powrócić do miasta, a nazajutrz poprobować szczęścia u Pana Sobka i— jeżeliby stało odwagi, zapytać kto jest ten usłużny staruszek. Ach! gdyby się mi udało oddalić się wtędy zlątąd na zawsze!..

Przebywszy szczęśliwie różane wzgórze, byłem już na odkrytéj zielonéj łączce, lecz z obawy być postrzeżonym w czasie przechodu przez trawę, obejrzałem się uważnie dokoła. Wyobraźcie sobie moje pomieszanie, kiedy postrzegłem za sobą czło-

wieka w szarej sukmanie, który prościutenko zmierzał do mnie! Zdjął kapelusz i tak nisko się pokłonił, jak dotąd przedemną jeszcze tego nie czynił. Ze wszystkiego było widać, że chciał mówić ze mną; z mojej strony byłoby nader niegrzecznie tego niezauważać. I ja też zdjąłem kapelusz, ukłoniłem się i zostałem na słońcu z odkrytą głową, jak przykuty do ziemi. Poglądając nań z przestraczem, byłem podobny do ptaka porażonego wzrokiem grzechotnika. Zdawało się też iż i on nie mniej był zmieszany: nareście spuściwszy głowę i przywitałszy się jeszcze kilką uniżonemi ukłonami, zbliżył się i zaczął mówić głosem cichym, niepewnym, jak gdyby błagał o jałmużnę.

— «Przebacz śmiałości, że tak dziwacznym sposobem odważam się szukać pańskiej znajomości, lecz mam prózeczkę do Pana. Bądź Pan tak dobry...»

— Ale na Boga! mój łaskawy Panie, przerwałem mu z bojażnią, w czém mogę być użytecznym człowiekowi, który... tu obaśmy się zmieszali, i jak się zdawało, obaśmy się podobno zarumienili.

Po chwili milczenia zaczął mówić dalej: «W krótkim przeciągu czasu, w którym miałem przyjemność nasycać się nieocenioną obecnością pańską... kilkakrotnie... pozwól mi powiedzieć... kilkakrotnie poglądałem z niewyrażonem ukontentowaniem na prześliczny, przedudowny cień pański, który z tak wspaniałą niedbałością, sam tego niepostrzegając, rzucałeś pod swoje nogi. Chciej być wyrozumiałym dla mój może za śmiałej prośby. Oto raz mi Pan Dobrodzień ustąpić swój cień!

Zamilkł, a w mojej głowie zaczęło się przewracać jak we młyńcu. Cóż miałem czynić na tak dziwaczną propozycję? przedawać swój cień?! To musi być warjat! pomyślałem sobie, i głosem harmonizującym z jego uniżoną pokorą, odpowiedziałem:

— Mój przyjacielu, czyż ei mała twego własnego cienia, że chcesz kupić u mnie? Prawdziwie nierozumiem tak dziwaczne-go żądania!

— «Jest coś w mojej kieszeni, co nie wyda się dziwacznem, mój panie, i co przecie warte czegoś... ale prześliczny cień pański oceniłbym nie potrafił.»

Pot chłodny zrosił moje oblicze; wspomniałem na kieszeń, i nie pojmowałem jak mogłem się odważyć nazwać go *moim przyjacielem*. Dla poprawienia tego odpowiedziałem mu z całą grzecznością na jaką mi stało: mój dobrodzieju, wybacz pokornemu

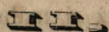
śludze twemu: zdaje się że nie dobrze rozumiem Pana: jakim sposobem można sprzedać cię swój?...

— «Ja proszę tylko o pozwolenie na tymże samém miejscu podjąć okazały cię Pański i wziąć go sobie; a jakim sposobem to już do mnie należy. A w dowód mej wdzięczności niech służą do wyboru wszystkie moje osobliwości, które mam w kieszeni, jako: Kwiat Paproci, Rozyw-Ziele *)], Czapkę-Niewidzialną, Kobierzec-Latawiec, Bóty-Chodaki, Pałki z Kobiałki, Obrusek z Obiadem, Wieczno-trwały-Dukat, ale co od wszystkiego lepsza, to Niewyczerpaną Kieś!»

— Niewyczerpaną-Kieś! zawołałem z głębi duszy, bo w tém jedném słowie on odgadł wszystkie moje życzenia i myśli. Głowa się mi zakręciła, a w oczach błysnęły dukaty.

— «Czy nie życzysz Pan sobie jej doświadczyć?» Sięgnął do kieszeni i wyjąwszy zwyczajnej wielkości kieś z dwoma krzepkimi rzemykami dał mi ją w ręce. Porwałem, wyjąłem 10 dukatów, potem jeszcze 10, i jeszcze 10, i znowu 10,— nareście wyciągnąłem rękę ku niemu: Zgoda! zgoda! mój Panie,— za nią ustępuję ci cię mój wiecznem, nieodwołanem prawem!

— «A więc targ dohity!»— rzekł starzec, śpiesznie ukląkł przedemną, wziął za głowę mój cię, i z zadziwiającą zręcznością zaczął go oddzierać od ziemi,— podjął, rozłożył regularnie, i nareście znowu zwinawszy, wpakował go do kieszeni. Po téj operacji wstał, pokłonił się raz jeden i drugi i poszedł ku różanemu wzgórkowi. Zdało mi się że na jego twarzy błysnął szatański uśmiech. Jednakże mocno ścisnąłem kieś za sznurki; słońce rzucało do koła mnie jasne promienie, a ja— zostałem na słońcu bez cienia i myśli!...



Opamięławszy się nareście, opuściłem pośpiesznie miejsce, na którym już nie było co robić. Pierwsze poruszenie było sięgnąć do kieszeni naładowanej złotem; potem okręciłem mocno rzemyki w około szyi i zawiesiłem kieś na piersiach. Wy-

*) Ziele to znane jest w podaniach ludu naszego, szczególnie na Białej-rusi; ma wywierac wpływ na żelazo: między innymi kruszy zamki i kajdany więźniów.

szedłszy z parku, dobiegłem do gościńca i skierowałem się ku miastu. Gdy zamyślony zbliżam się do bramy nagle słyszę wołanie: «młodzieńcze, ej młodzieńcze, poczekaj! nie uciekaj!»— Obróciłem się: jakaś starucha wołała za mną: «obejrż się paniczu, straciłeś swój cień!»— Bóg zapłać, staruszko!— Rzuciłem jój sztukę złota za ostrzeżenie i wszedłem do cienistej allei. U wchodu do bramy, musiałem jeszcze wysłuchać uwagi sztyldwacha: «gdzież to Mospanie, zostawiłeś swój cień? czy nie na pobulance z dobreimi kamraty?»— A tuż wołanie dwóch zadziwionych niewiast: «Ach! Matko Przenajświętsza! jakże to biedny człek być musi, kiedy on nawet i cienia własnego nie ma!»

To nareszcie zaczęło mi dokuczać i skrętnie wymykałem się od drogi na słońcu. Wszakże nie wszędzie mi się udawało, np. na szerokiej ulicy, którą przejść w poprzek musiałem. Jak na biedę szli wtedy żaki ze szkoły. Jeden z tych hultajów, garbusek, dostrzegłszy że niemam cienia, krzyknął i cała gromada tych wisusów zaczęła pędzić za mną, przypatrywać się i nareszcie obrzucać błotem i kamieniami, wrzeszcząc na całe gardło: «a tuś mi osobliwsze paniątko, przecież porządni ludzie cień mają zawsze przy sobie!»— Rzuciłem im garść złota, i przy pomocy litościwych osób, wpadłem do najemnej karety. Zostawszy sam jeden, zalałem się gorzkimi łzami. Rozpacz mię ogarnęła: dla czegoż, zawołałem w duszy, złoto przeważa wszystkie zasługi na świecie, dla czegoż cień na pozór nic nieznaczący, ceni się jeszcze wyżej od samego złota? Niedawno zrobiłem ofiarę z uczucia własnej godności i przekonania, a teraz nawet oddałem cień swój za złoto! Cóż teraz pocznę nieszczęsny!

Byłem jak nie swój, kiedy kareta zastanowiła się przy mojej kwaterze. Strach mi było pokazać się przed ludźmi, i wstyd iść do komnatki pod strychem. Prosiłem aby przyniesiono moje rzeczy do karety. Z pogardą przyjąwszy nędzne zawiniątko, rzuciłem kilka sztuk złota i kazałem wieść siebie do najpiérwszego hotelu. Hotel był obrócony przodem ku półnoocy, przeto nie miałem się czego obawiać. Odprawiłem woźnicę dawszy mu sówicie na wódkę. Kazałem otworzyć najlepszy lokal z przodu i zamknąłem się sam jeden.

Jak ci się zdaje, czém zająłem się naprzód? Rumienie się przed tobą, kochany przyjacielu! Zdjąwszy z piersi cudowną kiesę zacząłem z palącą mię chciwością, wybierać garściami złoto, i jeszcze złoto, i znowu złoto, i wszystko złoto! rozsypywałem je po kamiennój posadzce, stapałem po niem nogami, i chciwie

przysłuchiwałem się złotemu dźwiękowi: biędna moja dusza utonęła w jego dźwięku i blasku. Bez odpoczynku sypałem, sypałem, coraz więcej i więcej, nareście zmordowany i spocony, położyłem się całym korpusem na złotą kupę, i w konwulsyjnych porywach tarzałem się i nurzałem w złocie. Tak mi przeszedł dzień cały, wieczór, nareście noc mię zaścięła na kupie dukatów i sen zamknął moje powieki.

Tys mi się przyśnił wtedy, luby przyjacielu; zdawało mi się że jestem za szklanymi drzwiami twego gabinetu, i widzę jak siedzisz za swoim stolikiem do pracy;— po jednej stronie skielek, po drugiej wiązka zasuszonych roślin; przed tobą rozłożeni Haller, Lineusz i Humboldt: na sofie twój leży tom Goethe'go i *Zaczarowany Pierścień*: długo poglądałem na ciebie i na każdy przedmiot, potem znowu na ciebie, ty byłeś nieruchomy, bez życia, martwy.

Obudziłem się. Zdawało się, że było jeszcze bardzo rano. Zegar nie bił godziny: byłem cały jak zbity: pragnienie i głód paliły mię na przemian, gdyż od wczorajszego poranku kąsa w gębie nie miałem. Ze wzdargą i gniewem pchnąłem od siebie złoto, którym tak prędko przesyćilo się głupie moje serce i niecierpliwiełem się, nie wiedząc co mam robić z memi dukatami. Nie podobnaż zostawić je walające się po podłodze. Zacząłem wypychać je do woreczka, ale gdzie tam!...

Chciałem je wrzucić do morza, ale jak na złość żadne okno nie wychodziło na morze. Musiałem uleść konieczności: z trudnością, obłany obfitym potem zacząłem znosić i układać je w wielkiej szafie w gabinecie. Nappełniłem ją prawie do wierzchu. Skończywszy, osłabiony padłem na krzesło, czekając póki wstaną słudzy: pierwszy mój rozkaz był podać jedzenie i zawołać gospodarza.

Z gospodarzem naradzałem się jak urządzić moje pomieszkowanie. Rekomendował mi gorliwego i wiernego sługę Bendela, którego dobroduszny i rozsądny wyraz twarzy, do razu mi się podobał. I w rzeczy samėj, dotąd przywiązanie tego człowieka było jedyną dla mnie pociechą w goryczkach życia i łagodziło okropność mego położenia. Cały dzień pierwszy spędziłem na umawianiu się ze sługami, którzy ofiarowali mi swe usługi, z szewcami, krawcami i kupcami, którzy przynosili swoje towary; zaprowadziłem gospodarski porządek, nakupiłem mnóstwo kosztownych rzeczy, drogich kamieni jedynie dla tego, aby choć cokolwiek zmniejszyć kupę złota; wszakże pomimo to wszystko, złoto moje weale się nieumniejs-

szato. Położenie moje stawało się coraz przykrzejszém: zatrutowało się tęsknotą i niedowierzaniem; nie śmiałem stąpić kroku z pokoju, a wieczorem kazałem oświecić salon czterdziestą jarzącemi świecami, które gorzały do poranku. Wspomnienie o przykrém spotkaniu się ze szkolnemi żakami, nie odstępowało mię na chwilę. Ale potrzeba mi było koniecznie jeszcze raz spróbować opinii publicznej. Noce były jasne. Późno wieczorem narzuciwszy szeroki płaszcz i nasunawszy skrzydlaty kapelusz, wyszedłem z domu, cały drżący, jak zbrodniarz. Aby doświadczyć losu z przechadzającymi się po księżycu, nagle wysunąłem się z cieniściej alei, która mię skrywała dotąd.

Oszczędź mi, kochany Przyjacielu, dręczących wspomnień tego co wówczas przecierpieć musiałem! Kobięty na mój widok, wyrażały głębokie politowanie. Ich uwagi równie dręczyły moją duszę jako i szyderstwa młodzieży i zuchwałość mężczyzn, osobliwie tych, co się odznaczali pełnością i urodą, i którzy rzucali cień wspaniały i szeroki. Jedna miła, przesłiczna dziewczyna, idąca, jak się zdawało ze swemi rodzicami, którzy na moje szczęście patrzyli daleko przed sobą, nagle zwróciła się ku mnie,— i cóż?... Postrzegłszy czego mi brakowało, mocno się przestraszyła, opuściła zastanę na twarz przesłiczną, skłoniła ku ziemi głowę i w milczeniu poszła naprzód.

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Gorzkie łzy polały się z oczu, serce moje wyrывało się gwałtownie, i ja staniając się na strony znowu zagłębiłem się w pomroce nocnej. Nieraz musiałem się chwylać za krawędzie domów: tak były niepewne kroki moje. Powoli i późno dowlokłem się do kwatery.

Noc przesłała bez snu. Nazajutrz pićrwszą czynnością moją było postać szukać człowieka w szarj sukmanie. Może się uda go znaleźć,— może i on, na moje szczęście, żałuje już swj kupli?—Zawołałem Bendela. Człowiek ten żwawy i bystry może go znaleźć, myślałem sobie; i z całą dokładnością opisałem człowieka, co opanował jedynym moim skarbem, bez którego życie było dla mnie torturą. Opowiedziałem mu czas, miejsce, gdzie i kiedy go widziałem; opisałem wszystkich razem z nim będących, a nareszcie dodałem: aby z największą dokładnością dowiedział się o Dolondo'wskiej perspektywie i naszywanym złotem kobiercu, o wspaniałym namiocie i skaro-gniadych rumakach, dla tego, że historia tego wszystkiego,— nie objaśniając mu jakim sposobem,— łączy się ściśle z historją niepojętego człowieka, na którego w owym towarzystwie wcale niezwracano uwagi, lecz który swoim zjawieniem się zniszczył spokój i szczęście całego życia mojego.

Opowiedziawszy to, zaczerpnałem złota ile mogłem zagarnąć garścią, i dodawszy klejnotów, zawołałem: Bendelu, oto— co tobie ułatwi drogę, i *niepodobne* uczyni *podobnem*; nie szczędź złota, jak ja go nie szczędzę,— idź i pociesz Pana swego dobrą nowiną, od której zawisł cały los jego.

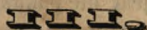
Poszedł,— lecz ku wieczorowi wrócił zasmucony. Ludzie i goście bankiera Sobka, zaledwie pamiętali o owym staruszku. Bendel rozpytywał wszystkich. Perspektywa wprawdzie tam się znajduje, ale nikt nie wie zkąd się wzięła; kobierzec i namiot są na témże samém miejscu. Służba przechwala się dostatkami Pana, ale nie wie zkąd te kosztowne przedmioty. Sam Sobek z upodobaniem na nie pogląda, ale wcale nie ciekawy wiedzieć, zkąd się wzięły; konie, których młodź dosiadała, stoją spokojnie w stajniach swych panów, którzy pod niebiosa wynoszą szczodrość P. Sobka. Sobek bowiem podarował im one tegoż samego dnia. Szczegółowe opowiadanie Bendela, chociaż nieoświetliło rzeczy najważniejszej, ale zasłużyło na pochwałę, za pełne gorliwości i rozsądku postępowanie. Ponuro skinąłem nań głową, dając znak aby mię samego zostawił.— Zdałem sprawę z poleceń pańskich, rzekł on, teraz pozostaje mi powiedzieć o szczególném spotkaniu się we drzwiach, kiedym wychodził z hotelu.

Oto są słowa nieznanego człowieka: «Powiedz P. Piotrowi Szlemil, że on mię więcej tutaj nie zobaczy; odpływam za morze i wiatr pomyślny w téj chwili przyzywa mię do portu. Ale za rok będę miał honor sam złożyć moje uszanowanie twemu panu, i wtedy pomówimy o innéj, równie ważnéj antreprzyzie. Oświadczyć mu moje najniższe ukłony i tysiąc zapewnień o mojej wdzięczności.»— Na zapytanie co on za jeden, odpowiedział: «iż pan go znasz.»— Jakże wyglądał ten człowiek? zawołałem pełen wzruszenia. At sobie, niczego,— i Bendel opisał mi człowieka w szarej sukmanie jak raz słowo w słowo, jak mu go opisałem, kiedy szedł szukać nieznanego.

—Niestety! był to on sam!

Jakby zasłona spadła z oczu Bendela: Tak, to był on sam tak, tak!— zawołał z boleścią. A ja ślepy głupiec nie poznałem go, zawiodłem mego najlepszego Pana! i zalewając się łzami, czynił sobie gorzkie wyrzuty. Rozpacz jego wzbudziła we mnie politowanie, zacząłem z nim mówić wesoło, upewniłem, że ani na jotę nie wątpię o jego wierności,— posłałem go potem do portu, aby gdzie tylko można, docierać śladów nieznanego. Ale tegoż poranku, wiele okrętów dotąd oczekujących pomyślnego wiatru,

wypłynęło na różne strony świata, i człowiek szary znikł jako cień znikomy!...



Na cóż się zdadzą skrzydła okutemu w łańcuchy? Bolesniejsze tylko obudzą wspomnienia wolności, i mocniej zatrują chwile rospaczy!

Leżałem jak krezus na kupie złota; brnąłem po uszy w złocie, a w duszy cierpiełem ubóstwo! Seree moje już nie rwało się do złota— przeklinałem go; ono mię pozbawiło wszystkiego, co mi było drogiem na ziemi. Skrywając moją tajemnicę, musiałem drzeć przed ostatnim ze sług moich: zazdrościłem mu nawet: on ma cień, on śmiało może wychodzić na światło. Pędząc samotnie dni i noce w zamkniętym pokoju, oddawałem się gwałtownej rospaczy....

Była wszakże istota, którą stan mój dotykał,— był to mój dobry, wierny sługa Bendel; dręczył on siebie tajemnymi wyrzutami, że zawiódł ufność moją, niepoznawszy tego, od którego cały mój los zależał. Ale czyż mogłem go obwiniać?

Chcąc spróbować wszystkich środków, posłałem razu jednego Bendela do pewnego sławnego Malarza: kazałem mu wręczyć drogi pierścień i prosić do siebie. Malarz jawił się na termin, kazałem odejść służącym, zamknąłem drzwi na zamek, usiadłem przy nim, i gdy on z zapałem zaczął mówić o sztuce swojej, ja z goryczą w sercu przystąpiłem do rzeczy. Rozumie się, że z góry wziętem słowo zachowania tajemnicy.

— Panie Professorze, rzekłem, czy nie mógłbyś swoją umiejętnością wrócić cień sztuczny człowiekowi, co przez nierozmysłność utracił naturalny?

— «Pan mówisz o cieniu zwyczajnym?»

— A właśnie!—

— «Czy podobna! jak można być tak niedbałym i niezręcznym, aby własny cień swój utracić?»

— Czy podobna?... O! to się stało bardzo zwyczajnym sposobem. I bez zarumienienia zacząłem mu kłamać: ów człowiek, wyobraź Pan sobie, przeszłej zimy podróżował po Syberji, i wyobraź Pan sobie, razu jednego mroz był tak silny, że aż cień jego przymarzył do ziemi. Dobywał ostatnich sił swoich, ale żadnym sposobem nie mógł go oderwać od ziemi.

— «Mogę wprawdzie wymalować cię sztuczny, odrzekł artysta, ale przy najmniejszym poruszeniu można go znowu utracić, osobliwie człowiekowi, który tak słabo trzymał się swego przyrodzonego cienia. A przeto temu,— kto nie ma cienia, najwłaściwiej i najrozsądniej jest nie pokazywać się na słońcu.»

Wstał i wyszedł rzuciwszy przenikliwym wzrokiem, który mię przejął na skrós.

W takim położeniu zastał mię Bendel. Widząc smutek Pana, cicho chciał wyjść z pokoju. Spójrzałem,— serce pękało się ze smutku,— miałem konieczną potrzebę wylania się przed kimkolwiek. Bendelu! zawołałem, ty jeden widzisz i podzielasz moje cierpienia;— nie wnikając w przyczyny, ty w duszy mię pojmujesz, pójdź tu, do mojego serca, niech cię uściskam jako Przyjaciela!.. Nie ukrywałem przed tobą bogactw moich, niechże i tajemnica mojego smutku, nie będzie zakrytą przed tobą. Tylko nie porzucaj mię! Widzisz, jestem bogaty, niezależny, szczodry; nie sądz jednak, aby mi świat miał czego zazdrościć; tajemnica straszna cięży nademną,— muszę unikać, muszę kryć się przed światem! Tak, świat mię osądził, świat wygnał mię z towarzystwa swego!— lecz może i ty mię porzucisz, jak skoro się dowiesz tajemnicy mojej?— Jestem bogaty, niezależny, szczodry,— ale o Boże! ja nie mam cienia!..

— «Pan nie masz cienia!»— zawołał przerażony, i tży potoczyły się potokiem.— «Biada mi! czyż na to mię Pan Bóg stworzył, bym służył człowiekowi bez cienia!»— zawołał i zamilkł, zakrywszy oczy rękami.

— Bendelu, rzekłem po chwili nieśmiało,— pozyskałeś ufność moją— i możesz ją teraz zdradzić. Idź— i całemu światu rozpowiedz!

Bendel był w widocznej walce z samym sobą; naraście rzucił się mi do nóg, chwycił moją rękę i oblał ją łzami— potem zawołał: nie! niech świat sądzi sobie co chce, ja nie mogę, ja nie chcę i niepowinienem dla braku cienia, opuszczać mojego dobrego Pana; uczynię co radzi mi uczucie osobistej godności, ale nie rachubą chłodną; zostanę przy Panu, będę mu służył własnym cieniem moim; gdzie można będę go zasłaniał, gdzie nie,— przeniosę razem wstyd i płacz!»

Rozczulony takim dowodem przywiązania, rzuciłem się go uściskać; wierzyłem w jego bezinteresowność, wiedziałem, że czyni to nie dla złota.

Od tej chwili zmienił się los mój i sposób życia. Trudno przedstawić z jaką troskliwością i zrećznością Bendel starał się ukry-

wać mój niedostatek. Wszędzie i zawsze był on przedemną i zemną,— wszystko przewidując i zgadując,— a gdzie groziło niebezpieczeństwo, szybko i zręcznie pokrywając swoim cieniem. Był sporęj urody i miał więcej ciała ode mnie. Takim sposobem znowu wszedłem w stosunki z ludźmi,— i zacząłem grać dość ważną rolę. Swobodnie i jawnie począłem wyrażać moje uczucia, mój charakter, a wiadomo, że wszelkie uczucia i wszelki charakter są do twarzy bogaczowi, i czém dalszą była ode mnie prawda, tém więcej odbierałem dowodów poważania i czci, odpowiednich moim dostatkóm. Obojętnie oczekiwałem naznaczonej chwili spotkania się z niepojętym starcem. Czułem dobrze, że mi nienależało dłużej zostawać na miejscu, gdzie mię widziano bez cienia i gdzie mogliby mię odkryć; pamiętałem też dobrze, zapewna tylko ja jeden, w jakiej postaci jawiłem się przed Sobkiem; to mi kamieniem ciążyło na duszy. Postanowiłem więc już tylko w tém mieście porobić próby, abym z większą pewnością mógł wystąpić w drugim; lecz wkrótce nastąpiła się nieprzewidziana okoliczność, która mię zatrzymała na miejscu. Była to miłość własna,— najstarsza strona serca ludzkiego!

Taż sama Fanni, z którą się spotkałem dopiero w inném miejscu, nie pamiętając, że mię kiedyś widziała, zwróciła na mnie baczną uwagę, bom został dopiero i rozumny i miły. Jak tylko zaczęłem mówić, wszyscy dokoła z uwagą słuchają,— i sam się dziwię z kąd i jak bierze się ta wymowa, która pozwala mi nie tylko lekko i swobodnie wyrażać się, ale nawet daje śmiałość zabierać głos w kompanji i mieszać się do ogólnej rozmowy. Wrażenie, jakie uczyniłem na mojej panience, sprowadziło mię z rozumu,— a jój właśnie oto tylko chodziło,— i ja, pogardzając tysiącem niebezpieczeństw, ścigałem ją w cieniach, w pomroce, gdzie tylko mogłem ją zdybać. Pyszniłem się myślą, że zmuszę ją być dumną ze mnie. Było to jednak urojenie samój tylko głowy którego, przy całej méj chęci, nie mogłem przeprowadzić do serca.

Ale na cóż utrudzać cię pospolitą powieścią pomiędzy ludźmi: ty sam mi nieraz coś podobnego powiadałeś o innych. Była to stara, dawno całemu światu znajoma sztuka, w której ja dobrodusznie grałem śmieszna i godną politowania rolę; rozwiązanie wszakże jój było tak dziwne, jakiego ani ja, ani ona, ani nikt inny nie mógł się spodziewać. Jednego pięknego wieczora, jak zwykle, zebrali się u mnie goście w ogrodzie; zdała od wszystkich przechadzaaliśmy się z Fanni, wspartą na mojem ramieniu, prawiąc sobie czułe komplementa. Poglądała w dal przed sobą, i spuściwszy oczy, odpowiadała lekkim uściśnieniem ręki: w téj chwili księżyc wyj-

rzał z za obłoków,— i Fanni postrzegła tylko swój cień rozciągający się przed nią.... Krzyknęła z przerażeniem, spójrzała na mnie, a potem na ziemię szukając oczami mego cienia; podziwieniem do tego stopnia zmieniło jej rysy, że byłbym sam rozśmiały się, gdyby zimny pot nie wystąpił na moje czoło. Puściłem jej rękę, ona zemdląła,— i ja, jak strzała puściłem się ku drzwiom, siadłem do pierwszej spotkanej karety i wpadłem do kwatery, gdzie wówczas, na moje nieszczęście zostawiłem Bendela. Przeląkł się postrzegłszy mię, ale jedno słowo objaśniło mi wszystko. Natychmiast przyprowadzono pocztowe konie. Wziąłem z sobą jednego tylko sługę Raskala, wierutnego filuta, który dla swęj zręczności stał mi się potrzebnym: on nie wiedział o tém zdarzeniu. Pędząc przez noc całą, uleciałem mil kilkanaście; Bendel pozostał aby zapłacić gospodarzowi i służącym i zabrać moje rzeczy.

Nazajutrz dognał mię: rzuciłem się w jego objęcia i przysiągłem, nie— aby podobnego głupstwa nadal nie zrobić, ale przynajmniej być ostróżniejszym. Odtąd podróżowaliśmy szczęśliwie przez góry aż za granicę, a kiedy podniosły łańcuch gór skrył nas przed tą nieszczęsną ziemią, kazałem wieść siebie do wód mineralnych, aby odetchnąć po tylu troskach i niepokojach.



W dalszym ciągu opowiadania zlekka tylko dotknę epoki, nad którą chciałbym się dłużej zastanowić,— jeżeli pamięć pozwoli mi ją żywo wskrzesić w wyobraźni mojej. Ale zbladły już farby, które ożywiały owe minuty, i któreby mogły im życie powrócić. Napróżno dziś szukam w mej duszy tęsknoty szczęścia, niewinnej illuzji,— uczuć tak wysoko ją wówczas nastrojających; napróżno uderzam w obumarłe łono: nie wytryśnie zeń już dzisiaj żywotworny strumień: opuściło go jego bóstwo na wieki! Inaczej się dziś zapatruję na czas ubiegły!..

W wodach nie udaje się mi zgrywać przyjętej roli jakiegoś salońowego bohatera,— i nowiejusz w tém nowém rzemiośle— mieszam się, zapatruję na parę błękitnych oczu i nareście rozkochiwam się po uszy. Rodzice, zwiedzeni pozorem, używają wszelkich środków dla zbliżenia końca,— i cała ta płochą igraszka— kończy się finą w nos!

Otoż i wszystko.

Dziś to mi się wydaje dzieciństwem, błazeństwem;— i rzecz dziwna!— dla czego dziś to widzę w takim świetle, kiedy wówczas tak rokosznie, tak żywo z tych samych powodów wzruszała się pierś moja. Minno, ilem też wylał kiedyś ciębie utracić, tyle płaczę dopiero, straciwszy z tobą wszystkie moje tkliwe uczucia! Czyżem ja tyle sercem postarzał?... Niestety! jest to smutną prawdą.... Gdyby choć jedno uderzenie pulsu, jak było kiedyś, gdyby choć jeden błysk ówczesnych złudzeń! Niestety! jestem jak człowiek sam jeden na przestronnym Oceanie,— od dawna już nie wre i nie iskrzy się wino w wypróżnionym kielichu!...

Wysłałem Bendela z kilką worami złota, aby wyszukał w małej mieścinie przyzwoitą kwaterę dla mnie. Rozrzucił pieniądze, i o swoim panu, znakomitym cudzoziemcu, dawał niejasne odpowiedzi, gdyż życzyłem sobie zachować *incognito*. To było powodem dla poczciwych mieszkańców do tysiąca domysłów, i czém głupszy i podlejszy byli pomiędzy nimi, tém nikczemniejsze zamiary mnie przypisywali. Jak tylko w domu wszystko było gotowem dla przejechania, Bendel wrócił i puściliśmy się w drogę.

Po pół-godzinnjéj jeździe, na oświeconym od słońca placu, tłum odziany w strój odświętny, zaszedł nam drogę. Musiano zatrzymać karekę. Zabrzmiała muzyka: dały się słyszeć trąby, bębny, wystrzały z moździerzów: huczne *hurra!* potrząsło powietrze. Do drzwiczek karety zbliżył się chór wybranych dziewic nadzwyczajnej piękności, postrojonych w białe sukienki; ale piękność ich wszystkich nagle znikła przed pięknnością jednej, jak nocne gwiazdy nikną przed słońcem. Wystąpiwszy z pośrodku towarzyszek ta cudna istota, spłoniona niewinnym rumieńcem, zgięła przedemną kolana i podała mi na jedwabném wężgłowiu wieniec uwity z lauru, róż i oliwnych gałązek. Mówiła mi o wielkości, miłości i uszanowaniu: nie rozumiałem ani słowa,— lecz jéj czarowny, srebrzysty głos upajał uszy i serce,— zdało mi się, że przedemną zjawilo się widzenie niebieskie. Chór zaśpiewał hymn pochwalny dobremu Królowi téj krainy, i szczęście jego podanych.

I to spotkanie, luby przyjacielu, na odkrytém miejscu, w swiały, słoneczny dzień lata! Na kolanach o dwa kroki zbliżyło się do mnie to ziemskie bóstwo: ja— człowiek bez cienia, nie mogłem przekroczyć téj przepaści, nie śmiałem zgiąć kolan przed tym aniołem. O! dla czegoż nie miałem wówczas mojego cienia! Musiałem w głębi karety ukryć mój wstyd, gniew i rozpacz!... Nareszcie Bendel potrafił znaleźć się za mnie;— wyskoczyłem przez

drugie drzewiczki, przywołałem go do siebie i podałem z koszyka, będącego pod ręką, drogą djademę, przeznaczoną kiedyś dla prześlicznej Fanni. Wystąpił naprzód i objawił w imieniu swego Pana,— który podobnych honorów nie może ani żądać, ani przyjmować,— że to musi być pomyłka,— wszakże pomimo to, zacni mieszkańcy powinni być wynagrodzeni. Przyjawszy wieniec, na jego miejsce położył brylantową djademę. Potem z uszanowaniem podał rękę prześlicznej dziewczycy, dopomógł jej powstać z ziemi i dał znak duchowieństwu, członkóm magistratu i całemu orszakowi deputacji, aby się oddalili. Poprosił aby się lud rozstał i dał przejście koniom, potem sam wskoczył do karety i kazał pędzić w galop do bram miasteczka, ozdobionych liśćmi i kwiatami. Wystrzały z dział grzmiądy bez przerwy. Kareta zatrzymała się przy jednym samotnie stojącym domu. Szybko wyskoczyłem z karety pośród zgromadzonego tłumu i na złamanie karku rzuciłem się do drzwi. Huczne *vivaty* rozlegały się pod oknami, z których kazałem rzucać półimperjałami. Wieczorem całe miasto było oświetlone. Nie pojmowałem jeszcze, co to miało znaczyć i za kogo mię przyjmowano: i dla tego postąpiłem Raskala dowiedzieć się o tém.

Odpowiedziano iż wieść się rozeszła, że dobry Król tój krajny podróżuje *incognito* pod imieniem Hrabi **, że Adjutant jego był poznanym i takim sposobem zdradził i siebie i mnie, że z tego powodu nieograniczoną jest radość mieszkańców z oglądania mię w swoim mieście, że nareście zrozumieli, że chcą zachować *incognito* i dopiero żałują, że ośmielili się naruszyć moją spokojność. Wreście wnieśli sobie tak: że moje serce jest tyle dobrotliwe, tyle pobłażliwe, iż zapewna łatwo wybaczę im, przez wzgląd na ich szczerą miłość.

Mojemu ladaco slugusowi wydało się to tak zabawném, że użył całej swój wymowy, aby utwierdzić pocziwoszów w ich przekonaniu. Zauważywszy, gdy opowiadał przedemną, że mię to rozweseliło, dodał też o swoim fortelu. Szczerze wyznam, że mi pochlebiało, jakimkolwiek sposobem uchodzić za ważną figurę. Nazajutrz kazałem wieczorem w cieniu drzew pod memi oknami urządzić fetę i zaprosić wszystkich mieszkańców. Dzięki cudownej władzy kiesy i rostopności Bendela z pomocą Raskala, wszystko zostało należycie urządzone. Trzeba było dziwić się wspaniałości, jakby czarowną laską urządzonego balu. Wszędzie blask i przepych! Oświecenie obmyślono tak zręcznie, że mogłem zupełnie być spokojnym o siebie. Pozostało mi tylko podziękować moim służącym.

Nadeszła godzina balu. Goście zaczęli się mi prezentować. Wyraz *Najjaśniejszy Panie* nie był wyrzeczony, ale z głębokim ukłonem i szanowaniem nazywano mię *Panem Hrabią*. Cóż było czynić? Podobał się mi ten tytuł, i odtąd zostałem *Hrabią Piotrem*.

Tymczasem w tłumie gości serce moje szukało tylko jednej. Nareszcie przybyła później od innych, z wieniec na głowie,— istna Królowa balu! Skromnie szła za rodzicami, i zdawała się wcale nie wiedzieć sama, iż była piękniejszą od wszystkich. Pan urzędnik z żoną i córką byli mi przedstawieni. Staruszkóm udało się mi nagadać wiele rzeczy przyjemnych i pochlebnych, ale przed córką byłem jak szkolaik, nie mogąc ani słowa przemówić. Zająkując się nareście wybełkotałem, iż życzyłbym aby spełniła obowiązki téj, której oznaki miała na głowie. Zarumieniona prosiła błagajacém spójrzaniem o litość, ale ja nieprzytomny jeszcze bardziej, uderzyłem czołem przed najpierwszą z poddanych,— chociaż jedno skinienie moje było dla wszystkich rozkazem.

Wspaniałość, blask, niewinność i wdzięki, skupiły się razem na tym balu. Szczęśliwi rodzice Minny dumni byli czeią i honorami, okazywanemi ich córce: ja sam byłem w upojeniu. Wszystkie kosztowności, nabyte jedynie w celu umniejszenia nieznośnego złota, perły, kamienie, kazałem wysypać do dwóch złotych puhałów, i w czasie obiadu, w imieniu Królowej balu, rozdawać je przyjaciółkóm jój i równiennickóm. A tymczasem złoto nie przestawało sypać się przez umyślnie urządzoną kratę na tłumy nieposiadającego się z radości ludu.

Nazajutrz Bendel odkrył mi jako pewność, że podejrzenia które powziął był dawniej na konto uczciwości Raskala, dopiero ugruntowały się więcej. W wigilją balu, sprzątnął na stronę kilka worów złota.— Na co mu żałować złota, temu hultajowi, odpowiedziałem. Wszak rzucam każdemu kto się nawinie, dla czegożby i on nie miał skorzystać? Tymbardziej, że on i wszysey służyli dobrze i przyczynili się do wesolego spędzenia dnia wczorajszego.

Więcej nie mówiliśmy o tém. Raskal pozostał najpierwszym ze sług moich, a Bendel przyjacielem. Przywykł on uważać bogactwa moje za niewyczerpane i nietroszczył się o ich źródło: rozumiawszy moje uczucia i myśli, nieraz wynajdywał zrzeczność, aby pokazać i rozsypywać złoto. O owym bladym staruszk w szarej kapocie wiedział tylko, że przez niego mogę się oswobodzić

od przekleństwa ciężacego nademną, i że zarazem obawiam się go, chociaż od niego zależy moja spokojność; że on może mię znaleźć wszędy i zawsze, a ja go nigdy! a przeto— dawszy pokój daremnym poszukiwanióm, z rezygnacją oczekuję chwili losem mi naznaczonej.

Okazałość fety i całe moje znalezienie się upewniło mieszkańców w ich początkowém mniemaniu.

Wkrótce jednak z gazet stało się wiadomém, że wieść o podróży Króla była bezzasadną. Lecz, że wszystkich Królów przed niedawnym jeszcze czasem trudno policzyć było, więc dobrzy ludzie, którzy nigdy żadnego Króla w żywe oczy nie widzieli, prorokowali to na tego, to na owego.

Hrabia Piotr więc przy swoim królestwie pozostał.

Jednego dnia pomiędzy gośćmi na wodach, zjawił się pewien kupiec, który aby się wzbogacić, ogłosił się bankrutem,— zresztą używał powszechnego szacunku i rzucał za sobą cień szeroki wprawdzie, ale nader przezroczystry. Zechciało się mu popisać z ostatkiem swego bogactwa, i porównać się ze mną; ale w kilka dni zapędziłem w kozirog biédaka, że mu nie pozostawiało nic więcej, jak albo pó raz drugi ogłosić się za bankrótą, albo wyruszyć sobie za góry. Wielu hardo-pyszków w tój stronie z mego powodu albo zostało łotrami, albo poszło z torbą po świecie...

Przy królewskiej wspaniałości i zbytku, któremi wszystko sobie podwładném czyniłem, sam prowadziłem proste i skromne życie. Były użyte wszelkie środki ostrożności: prócz Bendela nikt pod żadnym pozorem nie śmiał wejść do mego pokoju. Jak tylko zaświeciło słońce, natychmiast zamykałem się na klucz z Bendelem, i to się nazywało: *Hrabia pracuje w swoim gabinecie*.— W ścisłym związku z tą czynnością byli kurjery, których posyłałem za każdą bagatelą. Wieczorem przyjmowałem gości albo w cieniu drzew, albo w salonie, rześisto i umiejętnie oświeconym. Kiedy wychodziłem, Bendel na krok mię nie odstępował, a wychodziłem tylko do cienistych sadów i jedynie dla obudzonego we mnie nowego uczucia, które odtąd stało się duszą mego życia.

O! dobry mój przyjacielu, spodziewam się żeś nie zapomniał co to jest miłość!— przeto zostawiam tobie samemu dopełnić resztę mego opowiadania. Minna była skromną, miłą, łagodną, godną najczystszej miłości: potrafiła zupełnie przywiązać mię ku sobie. W skromności swój niepojmowała, czym mogła zasłużyć na moje

uczucia i z całym młodzieńczym zapałem niepokalanego serca odpowiedziała miłością za miłość. Ona kochała jako kobieta, poświęcając wszystko, zapominając o wszystkiém dla tego, który napełniał jęj duszę i życie, nie troszcząc się nawet o własne swe szczęście: ona kochała prawdziwie. A ja— o smutne wspomnienie! (choć waz powrót byłby tak pożądanym!) jakże często gorzkimi łzami zalewałem się na piersiach Bendela. Ocucony z letargicznego upojenia, z przestraczem spojrzełem na siebie i ujrzałem całą niegodziwość mojego postępku. Pozbawiony cienia, ze złośliwém podejściem niszczyłem pokój tego anioła, tój czystej duszy którą uwiodłem!— To chciałem ją porzucić, uciec od nięj, przysięgając nie wracać więcj; to znowu zalewałem się łzami przemyśliwając z Bendelem, jakby ją ujrzeć raz jeszcze.

To znowu cieszyłem się nadzieją doczekać skoro odwiedzin staruszka w szaręj sukmanie, i znowu zaczynałem płakać widząc, że to były płonne nadzieje, które naprózno usiłowałem w sobie obudzić. Wyrachowałem nawet datę dnia, w którym miał wrócić ten straszliwy starzec. «Za rok!»— powiedział mi, wierzyłem jego słowu.

Rodzice Minny byli to sobie poczciwi ludzie i bardzo przywiązani do jedyne go dziecięcia swego. Wiedzieli co zaszło pomiędzy nami, a teraz nie wiedzieli co począć? Z początku im ani do głowy przychodziło, aby Hrabia Piotr mógł pomyśleć o ich córce: aż tu po niej jakim czasie postrzegają, że kocha ich córkę i wzajemnie jest kochany. Matka, kobieta dumna nie daleką była od przypuszczenia tego związku, miała nawet pewne widoki,— ale podobnie zuchwała myśl nie mogła powstać w roztropnej głowie męża. Oboje wierzyli w uczciwość moich uczuć;— cóż pozostawało im, jak modły do Boga o szczęście ich jedy-naczki.

Wówczas otrzymałem list od Minny, w którym wyraziła się cała jęj dusza.

«Jestem słabą, ułomną kobietą,— z całej duszy mojęj kocham cię, mój miły,— spodziewam się, że nie zasmuczysz biędnej dziewczyny. O! ty jesteś tak dobry, tak niewypowiedzianie dobry, że nie wezmiesz za złe mojęj śmiałości pisania do ciebie. Błagam cię mój Aniele, nie poświęcaj się dla mnie. Ty nie powinienes z siebie robić dla mnie ofiary,— ja nie śmiem przyjąć od ciebie poświęcenia się,— mój Boże! znenawidziałabym samą siebie, gdybyś to dla mnie uczynił! Nie! uczyniłeś mię najszczę-

śliwszą w świecie, — nauczyłeś mię kochać. Ale dosyć, — zostaw mię teraz. Los mój wiadomy. Hrabia Piotr nie może należeć do biédnej dziewczyny. Ja będę się pysznić, gdy usłyszę mówiących: «to był on, — on to uczynił, — on tego dokonał; tam go czcili, — tam go ubóstwiali.» — Wyznam, że kiedy pomyślę o tém, to gniewam się na ciebie, że przy tak gorzkim jak ja dziecku zapominasz o swoim wysokiém dostojenstwie. Porzuć mię, inaczéj ta myśl zatrjuje lepsze chwile życia mojego, teraz, — przez ciebie jestem tak szczęśliwą! Czyż nie wplotłam do twego życia róż kilku, jak do owego wianka, który ośmieliłam się tobie ofiarować. Nie lękaj się mój miły, — opuść mię: ty żyć będziesz wiecznie w mojem sercu, — ja umrę — ale szczęśliwą, pełną twojej miłości!”

Możesz sobie wyobrazić jaką męczarnią było to pismo dla mnie. Wyznałem, że wcale nie jestem ten, za jakiego mię brano; że jestem tylko bogatym człowiekiem i zarazem najnieszczęśliwszym z ludzi, nad którym cięży straszliwe przekleństwo które do pewnego czasu musi pozostać tajemnicą między nami, gdyż mam nadzieję odeń się wyzwolić. Wyznałem jéj że dziś myśl moję zatruiwa to, iż mógłbym wciągnąć w przepaść za sobą i tę, która jest jedyném szczęściem życia mojego. Ach! ona była tak dobrą, serce jéj było tak pełne miłości! — Gdyby ły jéj mogły mię ocalić, z jakąż radością onaby się poświęciła za mnie!

Ona mię długo nie pojmowała: myślała, że m książę na wygnanie skazany, albo jakaś inna ważną osobą. Wyobrażenia przedstawiała jéj kochanka pod prześlicznemi, heroicznemi barwami. — Jednego razu rzekłem do niéj: Minno! ostatniego dnia przyszedłgo miesiąca, los mój musi się rozstrzygnąć i może się zmienić na lepsze, a jeżeli to nie nastąpi — ja muszę umrzeć, gdyż nie chcę widzieć ją nieszczęśliwą. Łzami zalana skłoniła głowę na moje piersi.

— «Jeżeli los twój zmieni się, rzekła, daj mi tylko wiedzieć żeś szczęśliwy, niczego więcéj nie żądam od ciebie. Jeżeli będziesz nieszczęśliwy, podziel się ze mną smutkiem, pomogę ci znosić boleści jego.»

Kobieto! kobieto! weź sobie nazad to słowo, któreś nierozmyślnie wyrzekła! Czy ty pojmujesz całe jego znaczenie? Czy ty wiesz, co za los ciąży nademną? Czy ty wiesz kto jest twoim kochankiem? Czy nie widzisz jak z konwulsyjnym drzeniem skry-

wam przed tobą tajemnicę moja?— Płacząc rzuciła się mi do nóg, i zaklinając powtarzała swe proźby.

Objąsnilem się z ojcem Minny, który właśnie wszedł w tój chwili.— Zamiarem moim było w przyszłym miesiącu prosić o rękę jego córki. Silnie nastawałem na ten termin zapewniając, że w tym przeciągu czasu mogą zajść rzeczy, które zmienią moje położenie, lecz miłości mojej dla niej nic na świecie zmienić nie jest w stanie.

Łatwo pojąć zdziwienie staruszka, który to usłyszał z ust Hrabiego Piotra: rzucił się mi na szyję i sam się przeląkł jak mógł zapomnieć się do tego stopnia. Wątpił, rozmyślał, rozpytywał; potem zaczął mówić o posagu, o zabezpieczeniu, o przyszłości swego miłego dziecka. Podziękowałem mu za to przypomnienie i rzekłem: iż mam zamiar osieść na zawsze i żyć sobie szczęśliwie w tój krainie, gdzie pierwszy raz w życiu poczułem szczęście być prawdziwie kochanym. Prosiłem też aby na imię swój córki wybrał jakiś lepszy majątek z tych, które tam wówczas były wystawione na sprzedaż,— a należność wypłacić mnie pozwolił.— W takim razie ojciec najlepiej mógł usłużyć swojemu dziecięciu.— Jednakże kosztowało to mu nie mało, gdyż wszędzie uprzedzał go jakiś nieznajomy; nareszcie jakoś udało się zachwycić majątek, wartujący miljon. To poruczenie z mój strony było niewinnym fortelem, aby go na czas jakiś oddalić od córki. Nie raz udawałem się do tego sposobu, gdy starzec zaczynał mię nudzić. Dobra zaś staruszka była głuchą i nie tyle próżną, aby chcieć bawić się z Panem Hrabią.

Nadeszła i matka; dobrzy ci ludzie zaczęli namawiać, abym wieczór ten z niemi przepędził, lecz nie mogłem pozostać dłużej, bo już okazywał się księżyc. A więc nazajutrz jak tylko zmrok zapadł, udałem się znowu do ogrodu. Zarzucawszy szerokie fałdy płaszcza i nasunawszy kapelusz, zbliżyłem się do Minny. Ujrzawszy mię żywe zrobiła poruszenie: w myśli stanęła mi owa noc, w której pokazałem się bez cienia. Była to ona, lecz jakby mię nie poznała. Umilkła i zadumała się,— to mi padło ołowiem na piersi,— oddaliłem się,— i odtąd coraz częściej i częściej widywałem ją we łzach. I w mojej duszy stawało się coraz posępniej. Staruszkowie tylko byli w upojeniu.

Nadchodził dzień fatalny, posępny, jak piorunowa chmura.— Miało się ku wieczorowi: oddech mój stawał się coraz cięższy,

Troskliwie napełniłem kilka worków złotem i oczekiwałem 12 godziny. Siedzę wparłszy oczy w indeks, liczę sekundy, minuty, jakby uderzenia sztyletu, zrywając się za najmniejszym szelestem. Oto już okazuje się zorza; powolne minuty płyną jedna za drugą, przechodzi południe, wieczór, noc; indeksa śpiesznie posuwają się naprzód, nadzieja ożywia się— bije 11-sta— niemasz nikogo!— Oto pierwsze uderzenie zegaru,— otoż i ostatnie,— godzina 12-sta!... Przeszły ostatnie minuty ostatniej godziny..., zalawszy się gorzkimi łzami, rzuciłem się w rozpacz do gabinetu. Nazajutrz— pozbawiony cienia na wieki— miałem prosić o rękę mojej narzeczonej. Niespokojny sen zaledwo o świcie zamknął moje powieki.



Było jeszcze rano, kiedy głosy osób sprzeczących się w przedpokoju, rozbudziły mię. Zacząłem się przysłuchiwać. Bendel nie wpuszczał do mnie Raskala, który kłął się, że rozkazu od równego sobie słuchać nie będzie, i upierał się gwałtem wejść do mojego pokoju. Poczciwy Bendel zrobił mu uwagę; że może stracić miejsce, jeżeli się ja o tém dowiem; Raskal odgrażał się użyć siły, jeżeli będzie mu dłużej przeszkadzał.

Na pół odziany, z gniewem otworzywszy drzwi, rzuciłem się do Raskala.

—«Czego chcesz, hultaju?»

Odstąpił na dwa kroki i z krwią najzimniejszą wyrzekł: «najpokorniej upraszam Jaśnie Oświeconego Księcia i Pana, pokazać mi choć raz cień swój,— a teraz właśnie słońce tak ślicznie świeci.»

Zatrzymałem się jak piorunem rażony, i długo słów znaleźć nie mogłem: nareście rzekłem: «jak śmiesz, służalcze, do swojego Pana...» On z miną najobojetniejszą przerwał mi: «sługa może być człowiekiem uczciwym, i nie chceć służyć panu pozbawionemu cienia.»— Cóż było robić? musiałem go zaciąć z innej strony.— «No Raskalu, poczciwy mój Raskalu, kto ci podał tę myśl, z kąd ci to do głowy przyszło?» Tymże co uprzednio tonem, rzekł on dalej: «są ludzie, którzy utrzymują, że Pan nie masz własnego cienia: albo proszę pokazać go, albo— uwolnić mię od służby.»

Bendel blady i drżący, ale przytomniejszy ode mnie, dał mi znak migiem, abym się udał o pomoc do złota. Napróżno— i ono straciło całą swoją potęgę;— Raskal rzucił mi trzos pod nogi, rzekłszy: «od człowieka bez cienia, ja nic nie przyjmuję.»— Potém odwrócił się i powolnym krokiem, z kapeluszem na głowie, gwizdząc głośno, wyszedł z pokoju. Jak skamienieli staliśmy z Bendelem, i w milczeniu, nieruchomie poglądaliśmy za nim. Z ciężkiem westchnieniem, ze śmiercią w sercu gotowałem się wziąć nazad dane słowo i jako przestępca jawić się w ogrodzie ojca mojej Minny. Wszedłem do cienistej altanki, nazwanej mojem imieniem, w której mieli mię oczekiwać. Matka spotkała mię z radością. Minna siedziała tamże, blada i śliczna jako śnieg poranny, który w jesieni przyprusza ostatnie kwiatki, i zaraz się w gorzką wodę zamienia. Staruszek z zapisanym papierem w ręku, chodził wzruszony tam i sam,— i zdawało się, że usiłował coś w sobie załumić. Ale twarz jego zwykle nieruchoma, na ten raz zdradzała go— to niezwykłą bledością, to nagłym rumieńcem. W chwili mego wejścia, szybko zwrócił się ku mnie, i przerywanym głosem żądał pomówić na osobności. Miejsce, do którego wzywał, było otwarte i oświecone ze wszech stron od słońca. W milczeniu padłem na krzesło.

Nastąpiło długie milczenie, którego nawet dobra staruszka przerwać nie śmiała.

Staruszek nierównymi krokami biegał wzdłuż altanki i nagle stanąwszy i spójrząwszy na papier, który trzymał w ręku, rzekł do mnie z badawczém spójrzeniem: «Panie Hrabio, czy nie znajomy z Panem niejaki Piotr Szlemil?» Milczałem.— «Człowiek z wyborną duszą i niepospolitemi talentami?...» Oczekiwał odpowiedzi.

—«A jeżeli ja sam jestem owym człowiekiem?...»— «Który— dodał szybko, cień swój utracił?...»— «O przeczucie, przeczucie! zawołała Minna, tak, oddawna już wiedziałam o tém, że on niema cienia!» Rzuciła się w objęcia matki, która przestraszona przyciskała ją do łona, mówiąc: dla czegoś tak długo skrywała tę tajemnicę?— A Minna, podobna do starożytniej Aretuzy, zamieniła się w źródło łez, które biło bystrzej przy dźwięku głosu mojego i wrzało burzliwiej kiedym się przybliżył.— «I Pan, rzekł znowu z gniewem starzec, miałeś czoło oszukiwać i mnie i to biedne dziecko— z niesłychaną zuchwałością upewniać o miłości i uczynić ją tak nieszczęśliwą! Ciesz się i nasyć się teraz jój cierpieniem. O, jakże to jest okrutnie i nielitościwie!»

Tak się zmieszałem, że jakby w gorączce zacząłem mówić: «Wszak w gruncie rzeczy— jest to nie więcej tylko brak cienia,— czyż nie można obejść się i bez niego? a robić tyle hałasu z powodów tak błahych— nie warto.» Wszakże sam głęboko czułem bezzasadność moich dowodów,— nie otrzymawszy odpowiedzi, zamilkłem i dodałem tylko: że co raz się utraciło, to nie idzie zatém, ażeby po raz drugi nie dało się odzyskać.

Lecz on oburzył się na mnie:— «Przyznaj się Pan, przyznaj, jakim sposobem utraciłeś swój cień?»— Musiałem znowu udać się do kłamstwa:— razu jednego jakiś człowiek nastąpił mi na cień, ale tak niezgrabnie, że zrobił w nim wielką szczyrbę,— oddałem więc go do naprawy: za złoto, jak Pan wiesz najlepiej, wszystko na świecie zrobić można. Czekam go dopiero z naprawy; obiecano go na wczora.»— A to ślicznie, rzekł starzec, bardzo ładnie! bierzesz się do mojej córki, gdy są i inni, co mają też same zamiary; ja— jako ojciec, powinienem dbać o los jej, więc daję Panu trzy dni czasu: odbierz z naprawy swój cień, jaw się z nim razem przedemną; lecz pomnij— aby był jak raz w porę do Pańskiej postaci: a wtedy— będę rad Panu. W przeciwnym razie daję ci słowo honoru, że za cztery dni córka moja będzie żoną innego.— Prokowałem powiedzieć coś Minnie, lecz ona zapłakała rzewniej i przycisnęła się do matki, która dała mi znak w milczeniu, abym się oddalił. Wahającym się krokiem odszedłem; zdało się mi, że cały świat zamykał się za mną na wieki!

Wyrwawszy się z pod troskliwej opieki Bendela, biegłem na oślep przez pola i lasy; zimny pot kroplami spadał z czoła, głuche jęki dobywały się z piersi; byłem bliski obłąkania.

Nie pomnę jak długo byłem w tym stanie, kiedy nagle na oświeconej polanie, ktoś schwycił mię za rękę. Stałem, obejrzałem się,— za mną stał człowiek w szarej kapocie... Zdawało się, że ledwie ducha nie wyzionął goniąc się za mną. I wręcz tak do mnie mówić zaczął:

«Przyrzekłem stawić się przed tobą dnia dzisiejszego, ale ty nie miałeś cierpliwości doczekać się do końca. Jeszcze nie wszystko stracone: posłuchaj méj rady,— wymienisz swój cień, który zawsze gotowy na twoje usługi i powrócisz natychmiast do swojej belli. Stary leśniczy rad będzie, z reszty się naśmieją— i koniec. Raskala,— który cię zdradził, a teraz chce się żenić z twoją narzeczoną,— ja biorę na siebie; rozprawię się z nim należycie, bo już nabroił nie mało— i dawno mu pora!»

Stałem jak odurzony: «przysiękłem stawić się dnia dzisiejszego?...» powtórzyłem. Porachowałem czas,— on miał racją: wrzeczy samą omyliłem się dniem jednym. Zacząłem ręką szukać sakiewki w zanadrzu— lecz on zrozumiał myśl moją i odstąpiwszy w tył na dwa kroki—

—«Nie, Panie Hrabio, zatrzymaj ją przy sobie,— jest ona w bardzo dobrych rękach.»— Patrzyłem z podziwieniem, wparłszy weń nieruchome oczy. Człowiek w kapocie rzekł dalej: «o bagatelkę poproszę go na pamiątkę dla mnie: oto— połów swój podpis na tym skrypciku.»

Na pergaminie, który mi podał, był następny napis:

«Własnoręcznym i dobrowolnym podpisem moim przekazuję we władanie na wieczne czasy objawicielowi niniejszego skryptu— duszę moją, po naturalném rozłączeniu się jej z ciałem.»

Z niemém podziwieniem poglądałem to na kulasy cyrografu, to na szarego przybysza. On tymczasem umoczył świeżo-zatemperowane pióro w kropelce krwi mojej, ciekącej z zadraśniętego palca, i podał mi.

—«Któż jesteś?» spytałem go wreszcie.— «Na co się to zda?» odpowiedział. Czyż tego nie widzisz z méj powierzchowności? Ot sobie biedak, coś nakształt filozofa, mędrca lub fizyka, co za swoją umiejętność odbiera tylko niewdzięczność od ludzi, i ma jedyną przyjemność na świecie, robić eksperymenta na ludziskach. Ale podpisz się, oto w tém miejscu na prawo: *Piotr Szlemil*. Potrząsałem głową i rzekłem: «wybacz mi Pan Dobr. ale ja tego nie podpiszę!»— «Nie podpiszesz?— zapytał z podziwieniem, a to dla czego?»

—«Widzisz Pan Dobr. mnie wydaje się rzeczą trochę niebezpieczną zamieniać duszę na cień.»— «Tak, tak!» powtórzył: «niebezpieczną!»— i głośno się rozśmiał.— «A za pozwoleniem pańskim, co to za klejnot tak nieoceniony, ta pańska duszeczka? czy widzisz się z nią kiedy, i co myślisz z nią robić, po swojej śmierci? Według mnie, powinieneś się mieć za szczęśliwego, że się znalazł amator, który za odtraconą przez ciebie istotę nieznaną, będącą dla ciebie X-em, za tę galwaniczną siłę magnetycznego działacza— albo jak tam sobie chcesz, nazywaj go— płaci tobie realném, to jest własnym twoim cieniem, który może ci przynieść w korzyści rękę twój ukochanej, i posłużyć do spełnienia najgorętszych twych życzeń. Czyż zgodzisz się usta-



pić tę niewinną Agnieszkę podłemu oszustowi, jakim jest Raskal? Wreszcie trzeba abyś ją widział własnymi oczami: dam ci *kapelusz cudowny*, który cię uczyni niewidzialnym— tu wyjął coś z kieszeni— i za jego pomocą, od nikogo nie widzialni, udamy się do Leśniczego. Muszę wyznać, że wstyd mi było zostać wysmianym przez tego człowieka. Nienawidziałem go z głębi méj duszy i sądzę, że ta instynktowa odraza więcej niż nabyte wyobrażenia i przesady wstrzymywały mię od nabycia za cenę cyrografu, tak gwałtownie potrzebnej mnie rzeczy. Sama nawet myśl przechadzki w jego towarzystwie, była dla mnie nieznośną. Serce moje buntowało się na samą myśl, że ten płaz obrzydliwy, ten duch potępieńczy stanie z szyderstwem pomiędzy mną i moją ukochaną, pomiędzy dwóma oblanemi krwią, rozłączonymi sercami. Uważałem ten wypadek za przeznaczenie losu i odwróciwszy się do szarój kapoty, rzekłem: «Mój Panie, przedatem mój cień za tę— nader ładną i bez tego, co w niej jest wewnątrz, sakiewkę— i bardzo żałowałem tego. Jeżeli naszą umowę można zerwać— to Pan Bóg z nią!— Szara kapota potrząsa głową i zrobiła karykaturny grymas. Ja ciągnąłem dalej: a więc ja ci nie sprzedam więcej nic ani na włos z mojej własności, nawet za cenę cienia mojego i w żadne podpisy wchodzić nie będę. A ponieważ w skutek tej propozycji przechadzka ma być więcej przyjemną dla pana niż dla mnie, więc pozwól rozstać się z sobą. Do nóg upadam! do nóg upadam!»

—Bardzo żałuję, Panie Szlemil, że się upierasz, i wypuszczasz z rąk dobrowolnie interesik, który ci po przyjacielsku proponowałem. Zresztą, może innym razem lepiej mi szczęście posłuży, Do miłego widzenia się? *A propos*, pozwól mi przekonać siebie, że u mnie rzeczy nabyte nie pleśnieją, a chowam je w poszanowaniu i czci.

I wyciągnął z kieszeni cień mój i zręcznie go rzuciwszy po ziemi, rozesał u nóg swoich, ze strony oświeconej od słońca tak, że się znalazł pomiędzy dwóma cieniami posłusznymi sobie; gdyż i mój cień musiał mu służyć i zgadzać się ze wszystkimi jego ruchami.

Kiedy po tak długiemi niewidzeniu postrzegłem znowu mój cień, uniżony do tak nikczemnej posługi, i w chwili, kiedy tak pragnąłem go posiadać, serce moje pękało z boleści i gorzko zalałem się łzami. Nikczemnik pysznił się z wydartej zdobyczy i bezczelnie znowu powtórzył mi swoją propozycją:— «Możesz go odebrać nazad,— jeden tylko przycisk pióra,— i ocalisz biedną,

niewinną Minnę z pazurów niegodziwca, mówię ci,— jeden tylko rzut pióra.” Łzy polały się znowu potokiem;— ale się odwróciłem i dałem znak aby się oddalił.

W tej chwili przybył Bendel, który z niewypowiedzianą troskliwością wyszukiwał mię wszędzie. Kiedy ten wierny i poczciwy sługa postrzegł mię zalanego łzami, i cień mój, który poznał natychmiast, w posiadaniu szarej kapoty,— postanowił natychmiast choćby gwałtem powrócić mi moja własność.

Nie wiedząc sam co robić w rzeczy tak delikatnej, napadł na kapotę i bez ceremonji kazał mu oddać moja własność. Ów zaś, zamiast odpowiedzi, zimno odwrócił się od Bendela i poszedł swoją drogą. Bendel szedł za nim krok w krok, i ciągle nagłąc do oddania mi cienia, dawał mu poczuć cały ciężar swój żyłastej ręki, niezmordowanie pracując na karku nieznanego, swoją sękowatą pałką. Ów zaś, jakby uzwyczajony do podobnego traktamentu, pochylił naprzód głowę, wygiął grzbiet swój, i w milczeniu, powoli, szedł sobie dalej drogą, ciągnąc za sobą i mój cień, i mego wiernego sługę. Długo stojąc w tém pustém miejscu, słyszałem daleki, głuchy odgłos uderzeń, aż póki nie zamilkł zupełnie.

I znowu sam jeden, jak wprzód, zostałem się z moim nieszczęściem.

VI.

Zostawszy sam jeden w pustej okolicy, dałem swobodny bieg łzom moim, przynosząc tym ulgę strapionemu sercu memu. Nie widziałem ani końca, ani granicy mego nieszczęścia i w męczącej gorączce upajałem się nową trucizną, którą wlał w moje serce ów nieznanomy człowiek. Kiedy wyobraźnia wyzwalała obraz Minny, i ulubione, miluchne jęj lica przedstawiły się mi zbladłe i we łzach, jak je widziałem raz ostatni w chwili mego ponizenia,— znowu nienawistne widziadło Raskala stało się pomiędzy nami z zuchwałem i złośliwem szyderstwem. Zakryłem twarz moja i biegłem na oślep po pustej okolicy,— lecz nie było ratunku od groźnego widziadła; pędziło za mną wszędzie i ciągle, aż póki nie upadłem na ziemię i nie zrosiłem ją łzami mojemi.

I wszystkie te cierpienia z powodu utraty cienia! A jednym zamachem pióra mogłem odzyskać upragnioną stratę! Rozważa-

tem w myśli propozycją nieznajomego i moją odmowę. Pusto było w mej duszy. Nie byłem już w stanie ani zdania utworzyć, ani dać sobie rady.

Tak przeszedł dzień cały. Zaspokoilem głód dzikimi owocami; pragnienie w blizkim ruczaju; noc nastąpiła i ległem pod drzewem. Chłód poranku obudził mię z ciężkiego snu, w którym zdawało mi się słyszeć jakoby przedśmiertne chrapanie. Bendel zapewna stracił ślad mój, i rad byłem z tego. Nie chciałem już wracać do towarzystwa ludzi, od których uciekałem jako lękliwa antilopa gór. Tak przeżyłem trzy dni bolesne.

Czwartego dnia rankiem, znajdowałem się na piaszczystej dolinie, na obłamku skały, oświetlonej promieniami słońca; lubo mi było teraz nasycać się dawno niedoświadczaną przyjemnością grzania się promieniami słońca. Serce w milczeniu tonało w rozpaczy.

Nagle przeraził mię lekki szelest. Gotując się do ucieczki, obejrzałem się naokoło: nie było nikogo. Lecz mimo mnie przesunął się po złotym piasku cień człowieka, dosyć podobny do mego; przechadzał się sam jeden i zdawało się, że się zbłąkał od swego pana.

Nagle powstało w głębi mej duszy silne uczucie. «Cieniu zbłąkany! pomyślałem sobie, ty szukasz dla siebie pana? Otoż ja cię przywłaszczę sobie.» I rzuciłem się ku cieniowi, sądząc, że jeżeli się uda tak trafić na nogi jego, że te jak raz przypadną do moich, to na nich się utrzyma, i z czasem zupełnie przypadnie.

Jak tylko się poruszyłem, cień zaczął uciekać, a ja musiałem rozpocząć mordującą pogoń za tym lekkim zbiegiem. Silna żądza wyrwania się z okropnego położenia, dodała mi sił potrzebnych do takiej pogoni. On biegł ku lasowi dość oddalonemu wprawdzie, lecz w cieniu którego mogłem go stracić zupełnie. Widziałem to i strach przeszył me serce, rozpałił chęć moją, dodał skrzydeł pogoni i widocznie zacząłem naścigać go coraz bliżej. Coraz więcej i więcej nacierając, dopadłem go nareście. Ale nagle stanął—izwrócił się ku mnie. Jako lew na zdobycz, rzuciłem się nań wielkim skokiem—mocne, niespodziane uderzenie o jakieś ciało,—wstrzymało mię. Niewiedzieć zkąd posypały się gradem na plecy moje straszliwe razy, jakie kiedykolwiek zdarzyło się odebrać człowiekowi na ziemi.

Pierwszą czynnością przest్రachu było: objąć i ścisnąć konwulsyjnym uściskiem niewidzialną istotę. Istota ta uprzednio nie była, a dopiero rzuciła *niewidzialne ptasie gniazdo*, które czyni

niewidzialnym trzymającego je w rękę, ale nie ostanta cienia jego. Zacząłem szukać naokoło oczami i wkrótce postrzegłem cień samego *ptasiego gniazda*. Rzucić się i pochwycić nieoczoną zdobycz, było dziełem jednej chwili. Niewidzialny i bez cienia, trzymałem mocno gniazdo.

Szybko powstawszy ów człowiek, zaczął szukać szczęśliwego zwycięzcę, lecz na obszernej, światłej równinie nie mógł dostrzedz ani méj postaci, ani cienia, których wyglądał z przerażeniem. Postrzedz uprzednio że jestem bez cienia, on nie mógł—przypuścić, że nie mam go,— było nie podobna. Kiedy się przekonał, że wszelki ślad przepadł, w szalonej rozpacz podniósł nad sobą ręce, i zaczął rwac włosy na głowie. Mnie zaś skarb zdobyty pozwalał wrócić znowu pomiędzy ludzi. Nie łamałem sobie głowy nad usprawiedliwieniem się przed sobą samym z niesłusznej grabieży cudzego dobra, nie czułem wewnątrz siebie potrzeby tego i unikając nawet podobnej myśli, szedłem sobie naprzód, ani dbając o skrzywdzonego. Smutne jego jęki długo dolatywały do mnie. Tak przynajmniej mnie się zdawało. Pałałem niecierpliwością dostać się do ogrodu rodziców Minny i przekonać się czy prawdą jest, co wyrzekł mój prześladowca; lecz nie wiedziałem sam gdzie byłem. Dla obejrzenia okolicy wszedłem na bliski pagórek. Z wierzchołka postrzegłem niedaleko, u samego podnoża góry, miasteczko i ogród leśniczego. Silnie zapukało me serce i oczy zalały się łzami tak rzewnymi, jakich dotąd nieodświadczałem nigdy;— miałem ją znowu obaczyć! Ściskająca serce tęsknota, przyspieszyła kroki moje; spuściłem się na dół po najbliższej ścieżce i niewidzialny wyminąłem kilku wieśniaków, powracających z miasta. Mówili o mnie, Raskalu i leśniczym;— ale nie chciałem słyszeć niczego i śpieszyłem dalej.

Z trwogą niepewności w sercu wszedłem do ogrodu; jakiś głos zdawało się mi słyszeć na przedzie; zadrżałem, obejrzałem się do koła, ale nikogo nie było. Poszedłem dalej,— ludzkie kroki dawały się słyszeć, ale nie było widać nikogo— wzięłem to za złudzenie słuchu. Było jeszcze rano. W altanie Hrabiego Piotra, ani żywej duszy: sad był pusty; błądziłem po znajomych alejach, aż póki zbliżyłem się do mieszkalnego domu... Wciąż tenże sam szelest prześladował mię aż tutaj— i jeszcze wyraźniej; ze ściśnioném sercem siadłem na ławeczce, stojącej na odkrytém miejscu, naprzeciwko drzwi domu; zdawało się, jakoby jakiś niewidzialny, szyderczy duch usiadł był przy mnie. Klucz pokręcił się we drzwiach, otworzyły się— i wyszedł leśniczy z papierami w rękę. Uczułem, że ktoś nakrył mi głowę jakby ngli-

stym obłokiem— odwracam się— i o dziwo!— przy mnie siedzi człowiek w szarj kapocie i pogląda z satanicznym uśmiechem. Przykrył mię swoim *cudownym-kapeluszem*, a tymczasem u nóg jego spokojnie roskoszowały się na murawie, rozciągały się jeden obok drugiego dwa cienie. Gdy leśniczy zajęty papierami chodził po altanie, nieznajomy uklonił się mnie i szepnął:

—«Wybornieś zrobił żeś przyjął moje zaprosiny, oto— jesteśmy dwie głowy pod jedną szlafmycą! Wybornie, wyśmienicie! Oddajże mi teraz *plisie gniazdo*, ono ci niepotrzebne; ty przecie jesteś człowiekiem uczciwym, nie zechcesz zatrzymać cudzej własności; dziękować zaś za nie masz potrzeby, bo proszę wierzyć, że z duszy i z serca pragnałem cię niem utraktować.»

Tu, bez najmniejszego z mój strony sprzeciwienia się, wziął z rąk moich gniazdo, włożył do kieszeni i znowu się zaśmiał, ale tak głośno, że stary leśniczy obrócił się. Siedziałem jak skamieniały.

—«Zgodzisz się sam, rzekł dalej, że w takim kapelusiku daleko ci jest wygodniej. Przykrywa bowiem nie tylko człowiek, ale i cień jego; i to nie jeden, ale tyle ile się mu mieć ich podoba. Oto widzisz, mam ich dziś dwa.» I znowu się zaśmiał. «Zanotuj to sobie, panie Szlemil, że na co dziś dobrowolnie zgodzić się nie chcemy, na to jutro— *musiemy*. Mojem zdaniem: lepiej kupić sobie rzecz potrzebną i zdobyć kochankę, bo pora jeszcze nie minęła,— a Raskal potańcuje na szubienicy, jeżeli konopi nie zabraknie na świecie; ale to fraszka! nie o tém teraz. No, słuchaj, oto i kapelusz cudowny masz w dodatku!»

Gdy to mówił— wyszła matka i zawiązała się następna rozmowa:— «Co robi Minna?— «Płacze»— Biedne dziecię, łzami nie pomoże biédzie.» To prawda: ale tak prędko wydawać ją za innego! O! ty jesteś okrutny, mój mężu, okrutny dla własnej córki!»— Mylisz się, kochanko, mylisz, jeżeli ona wyplakawszy się dowoli, podzięcinnemu, ujrzy się nagle żoną bardzo bogatego i poważanego człowieka,— to rychło wytrzeźwi się ze swego smutku, pocieszy się i będzie błogosławić BOGA— i nas— obaczysz.»— «Dałby to Bóg!»— Posażek jój wprawdzie nie lada, ale narobiła hałasu ta jój historia z owym awanturnikiem; nie prędko znajdzie się teraz dla niej partja przyzwoitsza od Pana Raskala. Czy wiesz jaki majątek u P. Raskala? Oto— nie daleko w naszej okolicy kupił dobra ogromne, i zapłacił gotówką za nie sześć milionów; nigdzie nie założone, czyste jak ziarno pszeniczne; sam we własnym ręku trzymałem dokumenta sprzedaży,— a przy tém w jego pugillaresie będzie na jakie trzy miliony wexlów na różnych

bankierów.— Być może— że porządnie gdzieś nakradł się, bo mu coś zle z oczu patrzy...— «A to co znowu? skrzętnie się zapewne uwijał, gdy inni trwonili. Ot i wszystko!»— Ależ, mój mężu— człowiek, który chodził w liberji....— «Głupstwa pleciesz moja ty głupia połowico, rzecz główna, aby miał cień własny, któremu by nikt ani słowa zarzucić nie mógł!»— Masz racją, mój ty przemądry jędorze,— ale zawsze!...»

Szara kapota uśmiechała się złośliwie i poglądała na mnie. Drzwi się otworzyły i wyszła Minna... Wspierała się na rękę pokojówki; ciche łzy spływały po przesłizniętej, bladej twarzy. Ojciec posadził ją na krześle przygotowanym dla niego pod lipą, a sam usiadł przy niej na stołku. Wziął ją za rękę— dziewczyna zapłakała rzewnie, a ojciec ze wzruszeniem mówić zaczął:

—«Dobre, miłe dziecko moje, Minno ukochana! bądź rozsądna, nie zasmucaj mię starego, który pragnę dla ciebie szczęścia. Pomyślę cię moja miła: ciebie strasznie wstrzęsło to nagłe wybawienie od nieszczęścia!— Zanadto lubiłaś niecnotę, pókiśmy nie dowiedzieli się o jego podtém oszustwie. Widzisz Minno, ja wiem o wszystkim, i nic nie będę ukrywał przed tobą. Ja sam, ja sam, moja kochana, lubiłem go dopóki sądziłem, że jest znakomitym panem. A teraz sama widzisz, jak się to wszystko przemieniło. Jakoż, w rzeczy samój, każde stworzenie— pies nawet ma swój cień,— a narzeczony jedynaczki miałby być bez niego? ty pewno sama już nie myślisz o nim! Wszak prawda?— A teraz, Minno, słuchaj,— udaje się do ciebie człowiek, który się nie lęka dnia słonecznego; człowiek poważany, który chociaż nie jest księciem, ale ma dziesięć milionów gotówką,— ty siąc razy więcej niż ty, moje lube dziecko,— jednem słowem, człowiek, który może cię uczynić szczęśliwą. Nie sprzeciwiaj się, bądź mi dobrą, posłuszną córką: zostaw troskliwemu ojcowi opiekę nad twoim losem,— osusz łzy twoje. Daj mi słowo Minno, że oddasz rękę Panu Raskalowi. Powiedz, obiecujesz?— Co?... zamierającym głosem odpowiedziała Minna: «ani woli, ani chęci, nie ma już dla mnie na ziemi. Niech się więc spełni nademną wola rodziców!» W téj chwili anonsowano P. Raskala, i on wszedł z miną zuchwałą. Minna zemdląła.... mój nienawistny towarzysz spojrział szyderczo na mnie i szybko szepnął do ucha: «i ty możesz to przenieść na sobie? powiedz, co płynie w żyłach twoich, bo widać, że krwi w nich niemasz? Lekkiem uderzeniem zadrasnął mi rękę niby niechcący,— z otwartej ranki kropla krwi spłynęła. On rzekł tymczasem: w samój rzeczy, co ja

widzę— wszak to krew, czerwonitka krew! Więc co tu marudzić— podpisuj się co żywo!”

Pargamin i pióro były w mojem ręku.



Otoż kochany Adalbercie, poddaję się z całą pokorą sądowi twojemu, i nie będę się wywijał z pod całej jego surowości ubocznemi wybiegami. Długo sam siebie poddawałem własnemu, bezstronnemu sądowi; długo żywiłem w mej piersi robaka zgryzoty. Ważna ta chwila życia mojego ciągle ważyła się w mojej duszy; w zwątpieniu i żalu zaledwo śmiałem zastanowić się nad sobą. Kochany przyjacielu, kto raz lekkomyślnie przesłiznie nogą za prostą ścieżkę, ten niechybnie zbije się nie za długo na błędne manowce, które go zawiodą na rozdroża, coraz dalej i dalej. Napróżno widzi w niebiosach migocące gwiazdy— dla niego już nie ma przewodniczki, niewstrzymanie pędzi z góry na dół— i sam z siebie przynosi ofiarę dla groźnej Nemezydy. Lekkomysłnie wyparłszy się siebie i ściągawszy przekleństwo, miłością swoją zaburzyłem spokój drugiej istoty: cóż mi pozostawało, jeżeli nie ślepo rzucić się dla zbawienia téj, której nieszczęść byłem sprawcą, i która miała prawo oczekiwać ode mnie pomocy? Zbliżała się ostateczna chwila. Nie sądź, Adalbercie, abym był podłym— żadna ofiara nie byłaby dla mnie za drogą. Wierź mi, Adalbercie, że dusza moja pałała nie pokonaną zemstą ku owemu włoścedze po rozdrożach życia... Może być, że byłem niesprawiedliwym względem niego, ale wszelkie spółnictwo z nim oburzało mię do żywego. I w tym razie, jak już nie raz w mém życiu, i w ogólności tak często w historii narodów,— nieprzewidziany wypadek, zastąpił miejsce obmyślonego zamiaru. W późniejszym czasie pogodziłem się z samym sobą i nauczyłem się ulegać konieczności, a dokonany postępek, fakt spełniony, czémże są innem, jeżeli nie wynikiem konieczności fatalizmu? Nauczyłem się też uważać ten fatalizm, jako mądrość przeznaczenia, obawiającą się w ogromnej machinie, w której my wszyscy jesteśmy jako obracające i obracające się kółka; co ma być, to musi się spełnić; co miało być, to musiało się spełnić, i spełniło się w skutek tego przeznaczenia, które nauczyłem się nareście uważać tak we własnym mym losie, jako i w losie tych, którzy byli jednymże losem połączeni ze mną.

Nie wiem, czy mam przypisać wyteżeniu memu pod naci-

skiem tyłu silnych wrażeń, wysileniu się moich sił cielesnych, osłabionych niezwykle cierpieniami w dniach ostatnich, czy naręście zgubnemu wpływowi, który wywierała na całej mojej istocie bliskość tego szarego potwora, ale właśnie w ową chwilę, kiedy trzeba było podpisać cyrograf, zostałem bez czucia, i długo leżałem jakby w objęciach śmierci.

Tupanie nogami i przekleństwo— były pierwsze wrażenia, które uderzyły uszy moje po powrocie do zmysłów. Otworzyłem oczy, było ciemno, nienawistny towarzysz z gniewem krzątał się koło mnie.— «Czy to nie babstwo! no, powstań prędzej i dokonaj, na coś się już zryzykował! Alboś może rozmyślił, i wolisz sobie, całe życie ciągnąć uciążliwą lamkę nędzy?»— Z trudnością powstałem z ziemi, i w milczeniu poglądałem wokoło. Było już późno wieczorem: w jasno oświetlonym domu leśniczego rozlegała się wesoła muzyka, pojedyncze grupy przechadzających się gości błędziły po allejach. Czują para zbliżyła się do ławeczki i zajęła to miejsce, które zajmowałem nie dawno. Rozmawiali o zawartém małżeństwie bogatego Raskala z córką właściciela domu. A więc już było po wszystkiém.

Zrzuciłem cudowny-kapelusz z głowy w tejże chwili znikłego kompana, i kierując się w cieniu drzew, w milczeniu przeszedłem mimo altany Hrabiego Piotra, dążąc do bramy ogrodu. Ale mój dręczyciel niewidzialnie mię ścigał, wyrzucając mi złośliwie: «Taka to jest wdzięczność twoja, za to, że cały dzień prze-wałęsałem się za tobą; nerwy twe osłabły;— a my oba na dudków wykierowaliśmy się! Niech i tak będzie mój ty czci-godny panie, upieraj się, uciekaj sobie gdzie chcesz; my zawsze będziemy razem!... U ciebie moje pieniądze, u mnie twój cień; to nam obu nie da spokoju. Niestłyszana to rzecz, aby cień opuszczał swojego pana! Twój będzie iść wszędy za mną, aż póki się nie zlitujesz, i nie wykupisz go sobie. Czego nie chciałeś uczynić dobrowolnie, to uczynisz *mimowolnie*. Życie ci będzie obrzydłem bez niego! Przeznaczenia swego nikt nie uniknie!» I ciągle mówił w tymże tonie; naprózno uciekałem od niego, on gonił za mną, powtarzając ciągle o złocie i cieniu. Nie byłem w stanie wyprowadzić z siebie żadnej myśli. Przez puste ulice biegłem do swego domu. Zaledwo go poznałem: za pobitemi oknami nie gorzała ani jedna świeca. Drzwi były zaparte i ani jeden sługa nie krzątał się wewnątrz. Szary głośno zachichotał przy mnie. «Tak, tak, oto jak bywa na świecie! ale Bendela znajdziesz w domu,— nie dawno przywieziono go tak zmęczonego, że sądzę, iż jeszcze nie może wyjść z domu.» I znowu zachichotał.

«Będzie miał co opowiadać! Ale na ten raz dosyć; dobrej nocy, mój Panie, do miłego widzenia się!»

Długo dzwoniłem, nareszcie pokazało się światło i Bendel zapytał zewnątrz: «Kto tam?» Kiedy ten poczciwy sługa poznał głos mój, radość jego nie miała granic; drzwi szybko się otworzyły i rzuciliśmy się w objęcia jeden drugiemu. Był on niezmiernie zmieniony, słaby i blady: co do mnie—wszystkie włosy posiwiały.

Przeprowadził mnie przez puste pokoje do oddalonej komnaty, która ocalała od powszechnego zniszczenia; przyniósł posiłek; usiedliśmy i Bendel znowu zalał się łzami. Opowiedział mi, jak spotkawszy niedawno chudego w szarą kapocie człowieka z moim cieniem, dopóty pędził się za nimi i bił go kułakami, aż póki sam nie upadł; potem, nie znalazłszy mię, powrócił do domu, a tymczasem z namowy Raskala lud zbiegł się na ulicy, wybijał okna, i zburzył całe mieszkanie.

Tak odplacono dobroczyńcy. Studzy moi rozbiegli się. Miejskowa policja, jako człowiekowi podejrzanemu, dała mi rozkaz wyjechać z miasta i okolicy—we dwadzieścia cztery godziny. Bendel wiele mi jeszcze mówił o szlubie i bogactwie Raskala; człowiek ów, przyczyna całego mego nieszczęścia, zapewna z samego początku dowiedział się o mojej tajemnicy; chciwy złota od pierwszych dni swój służby starał się posieść moją ufność i dobrawszy się do szafy, wykradł skarby. Teraz już nie chciał mieć więcej złota.

Opowiadanie swoje Bendel przerywał obfitemi łzami; potem zaczął płakać z radości, że znalazł, że odzyskał swego pana, i że po tylu obawach coby się stać mogło ze mną—widzi, iż z rezygnacją i spokojnie znoszę los mój. I w rzeczy samej, rozpacz moja przybrała spokojny pozór. Widziałem cały ogrom, i całą niemożność zmiany mego nieszczęścia; wyplakałem wszystkie łzy moje,—bolesć moja nie była już w stanie wyrwać z piersi mojej ani jednego jęku; obojętnie, i z zimną krwią poddawałem się przeznaczeniu memu.

—«Bendelu, rzekłem, ty wiesz położenie moje, ciężka kara spada na mnie nie bez winy. Ty zaś, człowieku niewinny, nie związuj swego losu z moim: ja tego nie chcę. Tęj nocy chcę wyjechać—osiadaj mi konia, ja pójdę sam jeden,—ty zostańiesz, ja chcę tego! Tu powinno być jeszcze kilka kufrów złota, weź je sobie.

«Sam jeden, bez rodu i domu, będę się błąkał po świecie; lecz jeżeli kiedy znowu uśmiechnie się do mnie szczęście, w nrocza

godzinę przypomnę cię, żem płakał na wiernej twój piersi w dniach żalu i smutku." Z rozdartém sercem pocziwy sługa słuchał ostatniej woli pana, której w duszy obawiał się najmocniej: ale byłem głuchy na jego prośby, ślepy na łzy jego. Wyprowadził mi konia;— raz jeszcze przycisnąłem płaczącego do piersi, wskoczyłem na siodło i pod całunem nocy oddaliłem się od grobu mojego życia, nie dbając jaką drogą uda się koń mój. Ani celu, ani woli, ani nadziei nie było dla mnie na całym przestworzu ziemi....

VIII.

Wkrótce zdybał się ze mną jakiś człowiek pieszo idący. Przeszedłszy czas niejaki obok mojego konia, prosił mię, że jako droga nasza jest spólną, czy nie pozwolę mu położyć swego płaszcza z tyłu za siodłem. W milczeniu zgodziłem się na to. Z niewymuszoną grzecznością podziękował mi za to, pochwalił konia, przeszedł potem do pochwały szczęścia ludzi bogatych; i nie pamiętam zresztą jakim sposobem zaprowadził rozmowę, w której byłem tylko słuchaczem.

Wyłożył swój sposób widzenia życia i świata, i nie długo przeszedł do metafizyki, w której chciał znaleźć słowo, rozwiązujące wszystkie zagadki bytu. Nader jasno określił swe zagadnienie i przystąpił do rozwiązania onego.

Tobie, mój przyjacielu wiadomo, że odkąd porzuciłem filozoficzną ławkę, przekonałem się mocno, że wcale nie mam powołania do filozoficznego myślenia i ostatecznie dałem mu za wygranę. Odtąd wiele rzeczy zostawiłem na stronie, nie mogąc ich pojąć i niedopytując się ich przyczyny; i zawierając więcej, podług twój rady, moim przyrodzonym uczuciom, szedłem po własnej mój drodze, ile mogłem za wewnętrznym głosem mój duszy. Teraz zaś zdawało się mnie, że ten człowiek tak biegle rozumujący, wznosił trwałe gmach, powstający na własnej podwalinie, i trzymający się wewnętrzną koniecznością. Wszakże w jego systemacie zgola nie widziałem tego, czego życzyłem, a przeto cały ten gmach jego, wydał się mi dziełem sztuczności, podobający się zewnętrznemu oku, dobrze rozporządzonym całością kształtem. Zresztą z uwagą słuchałem wędrownika, który wymową swoją na chwilę dał mi zapomnieć moje utrapienie, i byłbym mu zupełnie zaufał, gdyby potrafił tyle pociągnąć duszę, ile zajął umysł.

Tymczasem upływały godziny i zorza zaczęła się ukazywać na horyzoncie; przyszedłem do siebie i przeląknęłem się, postrzegłszy, że wschód zaczynał się barwić jasnymi kolorami, postaćmi słońca. O tej godzinie w całej swjej okazałości, zaczynają z zmroku występować cienie, a tu na miejscu otwartem, ani dachu, ani zasłony od promieni słonecznych! I byłem nie jeden! Spójrzałem na towarzysza i znowu się przeląknęłem— był to bowiem nie kto inny, tylko człowiek w szarej kapocie!

Uśmiechnął się widząc moje zdziwienie i niepozwalając mi gdyby otworzyć, sam mówić zaczął: «połączmy na chwilę wzajemne nasze interesa; rozstać się będzie nam jeszcze czasu aż nadto. Droga nasza wzdłuż góry, chociaż jeszcze nie pomyśliłeś o tym,— jest jedyną, którą ci rozsądek wybrać pozwala,— gdyż na dolinę spuścić się nie możesz, a udać się w góry, zkąd przybywasz, zapewna sam nie zechcesz;— a ta droga jest właśnie i moja. Dla spólnej podróży, udzielię ci cienia twojego, a ty za to pozwo-
lisz mi być twoim kompanem. Ponieważ zaś nie masz przy sobie Bendela, to może ja przydam się do posługi. Nie lubisz mię— bardzo mię to smuci. To jednak nie powinno by przeszkodzić korzystać ze mnie; djabeł nie tak straszny, jak go malują. Wczoraj rozgniewałeś mię wprawdzie, lecz ja nie będę się mścił dzisiaj; jednak zgodzisz się ze mną, żem potrafił cię trochę zainteresować w drodze. No, poprobu-j-no swego cienia.”

Słońce weszło; po drodze przewijali się ludzie, i ja, z wewnętrzną odrazą, zgodziłem się na propozycję. Z uśmiechem spuścił mój cień na ziemię, który w tejże chwili zajął swoje miejsce na cieniu konia i wesoło przebiegł obok mnie po drodze. Dusza moja była w dziwnym stanie. Wyminałem tłum wieśniaków, którzy ustępując mi drogę, kłaniali się z uszanowaniem jako dostojnemu człowiekowi. Jechałem dalej; serce mi mocno biło: chciałem poglądać z konia na ten niegdyś mój własny cień, a teraz wzięły na kredyt, u obcego, u wroga.

Nieznamy szedł obok mnie i gwizdał piosenkę. On pieszo, ja konno;— zaczął się w oczach moich; pokusa była nader wielką. Nagle ściągnąłem lejce, uderzyłem nogą konia i puściłem w galop w bok po ścieżce. Ale cień nie poszedł za mną; na zawrócie zeskoczył z konia i oczekiwał prawego swego posiadacza na drodze. Ze wstydem musiałem zwrócić się nazad, szary doświstawszy swęj piosenki, poartował ze mnie, znowu przypawił mi jak należy, cień mój, i powiedział, że cień wtedy tylko powróci i szczerze przystanie do mnie, kiedy nabędę *prawnie* prawa do niego. «Trzymam cię mocno na cieniu jak na linie, dodał, ode-

mnie nie uciec! Człowiekowi tak bogatemu, jako ty jesteś, cień koniecznie potrzebny,— już to taki zwyczaj na świecie; tobie należałoby dać upomnienie za to, żeś tego uprzednio pojąć nie chciał.”

Jechałem dalej tą samą drogą. Wszelkie wygody życia, nawet zbytek znowu pojawiły się w około mnie. Mając cień choć pożyczony, mogłem lekko i swobodnie ruszać się i wszędzie obudzać należne bogactwu uszanowanie; ale w sercu mojem śmierć gościła. Mój dziwny kompan, który sam siebie wydawał za niegodnego sługę najbogatszego w świecie człowieka, był nader usłużny, wprawny i zręczny; słowem, typ kamerdynera wielkiego pana. Nie odchodził na krok, i ciągle wpadał na mnie z pewnością, że zgodzę się wykupić cień, choćby dla tego tylko, aby się odeń wybawić. Jego kompanja była dla mnie równie uciążliwą jak obrzydłą; zacząłem się go lękać; wziął nademną zupełną górę i krótko mię trzymał, zmusiwszy mię znowu do uciech tego świata, od których uciekałem dotąd. Musiałem słuchać jego wymównych argumentów, i często zdawało się, że ma racją. Człowiekowi bogatemu cień jest konieczny; a tymczasem widziałem przed sobą tylko jedną drogę, dla utrzymania roli, którą znowu przyjąłem na siebie, mimowolnie wciągniony jego natarczywością.

Lecz postanowiłem mocno, wyrzekłszy się miłości i wszelkich powabów życia, za nic w świecie nie zaprzedać duszy mojej; lecz jaki tego wszystkiego miał być koniec,— powiedzieć nie mogłem.

Jednego razu siedzieliśmy przy wejściu do pieczary, którą zwykle zwiedzają podróżni odwiedzający te strony. Z nieprzejrzanej okiem głębokości, dochodzi z podziemi głuchy szum wód kipiących; zdaje się, że żadne dno nie wstrzymuje rzuconego w głąb kamuszka. Kompan mój, jak zawsze, z całym bogactwem fantazji i całym wdziękiem barw najświetniejszych, przedstawiał widoki najpiękniejsze tego, co mógłbym zrobić na świecie za pomocą złota, jeżelibym odzyskał nazad cień mój. Opartłszy się łokciami na kolana, zakryłem oczy rękami i słuchałem chytrego ducha; serce wahało się między pokusą i silną wolą. Nie byłem w stanie przenieść dłużej téj walki duchownej i rozpocząłem stanowczą bitwę.

—Zapominasz, zdaje mi się, że pozwoliwszy ci pod pewnemi warunkami znajdować się przy mnie, zostawiłem jednak dla siebie zupełną wolę.

—«Jeżeli tak jest, zabiorę się zaraz z moim mantelzakiem!»— Przekłety kompan chciał mię ustraszyć,— i zaczął cień swój związać:

czułem, iż zbladłem, lecz poglądałem nie mówiąc ani słowa. Nastąpiło długie milczenie. On pierwszy przerwał je:

—«Pan łaskawy wściekasz się na mnie, nienawidzisz mię,— ja to wiem dobrze; ale za cóż? Czy nie za to, żeś napadł mię na publicznej drodze, aby mi wydrzeć moje *ptasie gniazdeczko*; albo za to, żeś po zbojecku chciał mi mój cień wydrzeć, kiedy go pożyczył Panu, spuszczać się na pańską uczciwość i słowo? Z mojej strony wcale nie myślę gniewać się na Pana, bo podług mnie, to rzecz bardzo naturalna, żeś użył wszelkich środków siły i podejścia dla odzyskania cienia swojego. Że Pan jesteś surowych bardzo zasad i myślisz jak sama poczciwość, to też jest błąd wielki,— ale się to do mnie nie tycze. W rzeczy samej ja nie jestem tak surowy, ale za to— postępuję zgodnie z pańskimi zasadami. Czyż ja napadałem kiedy na Pana z nożem, aby wydrzeć jego szanowną duszeczkę? Nigdy! A wszakże ona się mi bardzo podoba! ale ja kroków żadnych dla porwania jęj nie przedsięwzięję. Wszak nienasyłałem na Pana mego sługę, aby ci odebrać zamienioną kiesę, by z nią później uciec? Wszak prawda?»— Nie było co mówić, i on ciągnął dalej:

—«Zgoda, zgoda! Mości Panie. Pan mię nienawidzisz, ja to bardzo pojmuję; i nie roszczę za to pretensji; powinniśmy się rozstać, to rzecz jasna; mnie też zacząłeś już nudzić. A przeto aby się jak najprędzej uwolnić od mego towarzystwa, które Pana zawstydza, radzę ci raz jeszcze: oto nabądź tę bagatelę.»— Podałem mu kiesę i rzekłem, czy nie za tę cenę?— «O! Nie!»— Westchnąłem głęboko i zawołałem: «Cóżkolwiek bądź, żądam koniecznie, abyś rozstał się zemną. Nie zachodź mi nigdy w drogę na ziemi, która jak sądzę, dosyć obszerna dla nas obu.»— Uśmiechnął się tylko i rzekł:— «Idę, idę, łaskawco mój, jednakże nauczę jak masz zadzwonić, kiedy przyjdzie ci do głowy chęć zobaczenia się z twoim najuniżeńszym sługą. Trzeba tylko potrząść kiesą, aby zabręczały dukaty, ja natychmiast stanę przed tobą. Na świecie każdy myśli tylko o swęj korzyści: ja zaś, jak widzisz, dbam i o twoję, odkrywając przed tobą jeszcze nową potęgę. O! to osobliwsza kiesa! Jeżeliby nawet mol zjadła cień twój, to nawet i wówczas kiesa ta utrzymywałaby silny związek pomiędzy nami. Dość tego że pieniądze moje u ciebie, ja do ciebie należę, możesz mi rozkazywać nawet nieobecnemu. Wiiesz, że i dla drugich jestem arcy-usłużny, osobliwie dla bogatych— widzialesz to na własne oczy. Ale cień swój,— zauważ to mój łaskawco sobie dobrze,— otrzymasz nie inaczej, jak tylko pod jednym warunkiem.»

Wspomnienia przeszłości błysnęły w mej duszy. Pośpiesznie zapytałem go: czy miałeś cyrograf Bankiera Sobka?— Uśmiechnął się i odpowiedział:— «O! nie, z tak bliskim przyjacielem, to niepotrzebne.»— Gdzie on jest dopiero, powiedz mi, dla BOGA— chcę o nim wiedzieć— Powoli zapuścił rękę do kieszeni, i za włosy wyciągnął sobowtór bladego, zmiętego Sobka. Zsiniałe usta Sobka poruszyły się i wybękały znaczące słowa: «*Justo judicio Dei judicatus sum; justo judicio Dei condemnatus sum.*» Zadrżałem,— i rzuciwszy brzęczącą sakiewkę w przepaść, zawołałem doń te ostatnie słowa: «Straszliwa istoto! w imieniu BOGA Wszchemogącego zaklinam cię, zgiń, przepadnij i nie jaw się przedemną!» Duch posępnie podniósł się do góry i zginął po za-dzikimi skałami, otaczającymi puste, samotne miejsce, gdzie znajdowałem się wówczas....



I tak— zostałem się bez cienia i bez pieniędzy: ale ciężkie brzemie spadło z mej piersi: znowu odzyskałem humor wesoły. Jeżelibym zarazem nie stracił mego uczucia, albo nie czułbym przynajmniej siebie winnym w utracie onego, mógłbym być prawie szczęśliwym. Jednakże nie wiedziałem co począć. Opatrzywszy swoje kieszenie, znalazłem w nich jeszcze po kilka czerwonych złotych; policzyłem je i zaśmiałem się. Koń mój był na dole, w hotelu; wstydzilem się tam wracać; należało się przynajmniej doczekać zachodu słońca, które było jeszcze dość wysoko. Położyłem się w cieniu poblizkiego drzewa i spokojnie zasnąłem.

Miłe obrazy w powietrznym orszaku spłotyły się w sen pocieszający. Minna z wiankiem na głowie przeleciała nademną i uśmiechnęła się uprzejmie. I poczciwy Bendel, uwieńczony kwiatami, z przyjacielskiem pozdrowieniem, mignął przedemną. Widziałem jeszcze wielu innych, i zdaje się nawet ciebie, mój kochany przyjacielu, w dalekiej ciżbie ludu: jasne światło błyszczało do koła, ale od nikogo cień nie padał,— i rzecz dziwna! wyglądało to wcale nie źle! kwiaty i pieśni, miłość i wesołość błyszczały i zlewały się w gajach palmowych! Nie mogłem ani zatrzymać, ani objaśnić sobie tego powietrznego, miłego, obrazu— wiedziałem, że to był sen i przebudzić się nie chciałem, a ocknąwszy się długo nie otwierałem oczu, aby dłużej zatrzymać ulatujące z duszy mej te sny błogie.

Nakoniec otworzyłem oczy: słońce było na niebie, ale już na

wschodzie: przespałem noc całą. Postanowiwszy więcj nie wrócić do hotelu, chętnie wyrzekłem się tego, com tam zostawił, i piechotą puściłem się po drożynie, w dół lesistego wzgórza, zostawując losowi spełnienie mego przeznaczenia. Nie oglądałem się po za-siebie, i chociaż mogłem udać się do Bendela, którego wzbogaciłem,— lecz nie chciałem ani na chwilę pomyśleć otém. Zacząłem obmyślać nowy rodzaj życia jaki rozpoczynałem. Ubiór mój był nader skromny: miałem na sobie czarną węgierkę, którą nosiłem kiedyś w Krakowie, która nie wiedzieć jakim sposobem wpadła mi pod rękę dla tój podróży. Prócz tego miałem na głowie podróżną czapkę, i parę starych butów na nogach. Powstałem, wyciąłem sękowaty kij na pamiątkę odrodzenia i puściłem się w podróż.

W lesie spotkałem się z wieśniakiem; ukłonił się mi grzecznie i rozpoczęliśmy rozmowę. Jako ciekawy podróżny, rozpytałem się naprzód o drodze, potem o kraju i jego mieszkańcach, o płodach strony i tak dalej. Dzielnie i ochoczo odpowiadał na moje pytania. Zbliżyliśmy się do łoża górnego potoku, burzliwie rozlewającego się w lesie na wielkiej przestrzeni. Na widok odkrytego miejsca, wewnętrzny dreszcz przejął mię na wskrós, dałem miejsce wieśniakowi przed sobą. Ale w samém najniebezpieczniejszym miejscu, stanął i obrócił się do mnie opowiadając jakieś wydarzenie; i natychmiast dostrzegłszy czego mi brakuje, nagle uciał rozmowę: «Ale cóż to, mój panie, nie masz widzę swego cienia!»— Tak, przyjacielu, nie mam! nie mam!— odpowiedziałem z westchnieniem,— od ciężkiej, długiej choroby, wylazły u mnie włosy, paznogie i cień. Patrz, bracie, w moje lata włosy odrósły białe jak puch łabędzi, paznogie króciutkie, a cień ani na włos nie wyciąga się dalej.— «Oho— odrzekł starzec kiwając głową, być bez cienia!— a to coś nie dobrego... Zła była u ciebie panisko, choroba!» Przystał mówić i przy pierwszym zawrócie, nie rzekłszy ni słowa, poszedł sobie na stronę. Gorzkie łzy polaty się mi z oczu i znowu samotny zostałem na drodze.

Z boleścią w sercu szedłem dalej postanowiwszy uciekać towarzystwa ludzi. Ukrywałem się w zaroślach i czekałem po kilka godzin, aby oko ludzkie nie przeszkodziło mi przebiezdź oświecone miejsce. Wieczorami szukałem schronienia po wioskach, dążąc do podziemnych kopalni, gdzie chciałem dobrowolnie się ofiarować na pracę. Do tego pobudzały mię nie tylko konieczność utrzymania exystencji, ale i własne przekonanie, że tylko usilna praca może mię zachować od myśli światowych.

Kilka mglistych dni ułatwiło mi drogę, ale zniszczyło z krete-tem moje buty, których podeszwy były przeznaczone dla Hra-

biego Piotra, nie zaś dla robotnika idącego pieszo. Szedłem więc bosy; trzeba było dostać nową parę. Z wielkim rozmysłem wziąłem się za to nazajutrz, na jarmarku w pobliskim miasteczku. Wszedłem do kramiku napełnionego starami i nowymi bótami. Musiałem sobie odmówić jednej pary nowych butów, które mi się podobały; zastraszyła mnie ich wysoka cena. Trzeba było przestać na parze podnoszonych, dość przywoitych, i siako tako trzymających się na nogach. Przystojny, jasnowłosy chłopczyk, sprzedający w kramie, ustąpił mi je za gotówkę taniej, uśmiechnął się i życzył mi szczęśliwej drogi. Obułem się natychmiast i wyszedłem przez północną bramę miasteczka.

Nie troszcząc się dokąd kierowały moje nogi, szedłem myśląc o kopalni, do której miałem nadzieję dostać się tegoż wieczoru, chociaż nie wiedziałem jeszcze do kogo się tam udać. Nie uszedłszy dwiestu kroków, postrzegłem żeś się zbliż z drogi. Zacząłem jej szukać: dokoła mnie dzika, posępna puszcza, do której jak się zdawało—nie dotykał się topor. Postąpiłem kilka kroków naprzód, i ujrzałem się pośród skał samotnych; śniegiem i lodem pokryte polany rozciągały się pomiędzy nimi, a wiatr ostry, zimowy dał do koła. Obejrzałem się nazad,— lasu już za mną nie było. Stąpiłem krok jeszcze— dokoła śmiertelna cichość: lód ciągnie się przedemną na niezmierzonej okiem przestrzeni, nade mną unosi się gęsty тумan, a na krańcach horyzontu, krwawa kula słoneczna. Chłód stawał się nie do wytrzymania. Nie pojmowałem co się ze mną działo: skrzypiący mróz zmuszał mnie przyspieszać kroki i wkrótce dał się słyszeć szum wód oddalonych, krok jeszcze naprzód— i ujrzałem się na wybrzeżu Lodowatego Oceanu! Niezliczone stada foków na mój widok rzuciły się w bałwany morskie. Zacząłem biegać po brzegu; widzę, znowu nagie skały, ziemię, brzozy, lasy sosnowe; bieję jeszcze dwie minuty, upał staje się nieznośnym.— Oglądam się do koła i widzę, że się znajduję pośród drzew morwowych, pośród uprawnych pól, ryżem zasianych. Usiadłem w cieniu, spojrzełem na zegarek: jeszcze nie upłynęło kwadransa, jak opuściłem miasteczko! Zdało mi się, że śnię. Uszczypnąłem siebie, aby się obudzić, ale w rzeczy samej nie spałem: zamknąłem oczy, aby się zebrać z myślami, i wnet usłyszałem dziwne, piskliwe odgłosy. Spojrzałem— przedemną stało dwóch Chińczyków,— nie mogłem się mylić, nawet gdybym nie uwierzył ich odzieży,— azjatycki typ wyraźnie odznaczał ich fizjognomje— mówili coś do mnie, kłaniając się ze zwyczajnymi sobie grymasami. Wstałem i odstąpiłem dwa kroki. Chińczyki znikli— a mnie otoczył wcale inny widok.

Drzewa i lasy zamieniły pola ryżowe. Zaczętem rozpatrywać krzewy i rośliny kwitnące w około. Niektóre z nich znane mi, należały do południowo-wschodnich, azjatyckich rodzajów. Chciałem zbliżyć się do jednego drzewa, stałem— i znowu wszystko się zmieniło. Jak młody zaciążnik na mustrze, stałem i poruszałem się maszynalnie. Przed zdziwionym wzrokiem moim rozwiąły się i zmieniały się cudownie widoki, pola, niwy, góry, stepy, pustynie. Nie mogłem wąpić dalej— miałem na nogach— *Chodaki - Skorochody....*

W korném milczeniu padłem na kolana i wylałem tży wdzięczności Przedwiecznemu. Cała przyszłość moja wnet mi jasną stała przed oczami. Odrzucony z towarzystwa ludzi za błąd mój przeciwko niemu— dopiero pojąłem daną mi naukę: wrócić do natury, którą tak kochałem kiedyś, a której zaparłem się dla świata....

Badanie natury w ziemi, danej nam jako sad rokoszny, odtąd będzie jedyném mojem przedmiotem i dźwignią całego żywota, a celem jedynym życia mojego— **NAUKA!**

Od tój pory cichą, surową i niezmordowaną pilnością starałem się postępować podług nakreślonego mi planu życia, który się rozkrzył przed moim wewnętrznym wzrokiem. Odtąd stopień wewnętrznego zadowolenia mego, zależy od większej albo mniejszej zgodności postępowania mojego *Ja*, sobowtóra z rzeczywistego świata— z prototypem mojej jaźni. Powlokłem okiem po obszerném polu, na którém w przyszłości miałem zbierać żniwo. Pod nogami memi były wyżyny Tybetu; słońce przed kilka godzinami zaledwo weszło dla mnie, w tój chwili widziałem skłonięne ku Zachodowi. Przebiegłem całą Azją od wschodu ku zachodowi, doganiając samo słońce w biegu, i wstąpiłem na ziemię Afryki. Z ciekawością obejrzałem ją razy kilka we wszystkich kierunkach. Kiedy w Egipcie,— od stóp starodawnych piramid i świątyń, spójrzawszy w pustynie stobramych Teb,— ujrzałem pieczary,— niegdyś pobożne pustelnie pierwszych chrześcijańskich męczenników— w głowie mojej zrodziło się mocne postanowienie, że tu powinien być mój dom, tu moja siedziba, tu kres mojego żywota. Wybrałem sobie jedną z najskrytszych obszerniejszą od innych jaskiń, jako uchronę przed szakalem, i zanotowawszy w pa-

mięci miejsce— puściłem się jako *Żyd wieczny tułacz*, dalej i dalej, naprzód i naprzód!...

U Herkulesowych słupów dałem skok do Europy i obejrzałem północne i południowe prowincje onęj; po lodach polarnych przeszedłem na brzegi Grenlandji i Ameryki; przewędrowałem wzdłuż i poprzek oba lądy stałe,— lecz zima, która zaścigła mię na krańcu południowym, rychło wyгнаła mię z przylądka Horna nazad ku północy.

Zaczekawszy, dopóki nie rozświtało we wschodniej części Azji i odpocząwszy nieco na górach Himalaju ruszyłem dalej, trzymając się w obu Amerykach łańcucha gór, przedstawującego największe znane ludziom nierówności ziemnego globu; powolnie i ostrożnie stapałem ze szczytu na szczyt to przez buchające wulkany, to przez wieczne śniegi, gdzie chłód tamował mi oddech, aż póki nie wstąpiłem na górę Ś. Eljasza i dałem skok przez ciasninę Berynga do Azji. Idąc po nieskończonych wklęsłościach wschodniego jej brzegu, z uwagą przypatrywałem się wyspom po drodze leżącym. Z półwyspu Malaki, Chodaki-Skorochody przeniosły mię na Sumatrę, Jawę, Borneo. Lecz ile razy próbowałam, nawet z niebezpieczeństwem życia, odkryć sobie drogę ku północno-wschodniej stronie, przez ogromne zatoki Hudson i Regenta, nie mogłem nigdy tego dokazać i musiałem wręście wyrzec się tego przedsięwzięcia. Usiadłem na ostatnim krańcu zatoki Regenta, poglądałem na wschód i południe, i gorzko zapłakałem, jako jeniec, przy kracie więzienia, zem tak skoro znalazł granice dla siebie. Pełna cudów natury, i tak koniecznie potrzebna dla poznania globu ziemskiego z jego zwierchniej, utkaniej z kwiatów szaty, roślinnego i zwierzęcego państwa,— *Nowa Holandja*, jak również i cały południowy Ocean, ze swemi wyspami,— koralo-zoofitami, zostały dla mnie niedostępnymi. A więc zaraz na początku, to com powinien był poznać i odtworzyć w nauce— musiało zostać tylko w odłamku. O mój Adalbercie, czémże są nasze wszystkie bezsilne usiłowania!

Ileż razy wśród najstraszniejszej zimy w południowej półkuli, usiłowałem przebić się przez polarne lody od przylądka Horn ku zachodowi— przestrzeń dwiestu kroków, dzielącą mię od Nowej-Hollandji i ziemi Van-Diemen. Nie myślałem czy powrócę, lub czy— jak wiekiem grobowem— zostanę przywalony od reszty świata;— ze ślepa odwagą stapałem przez lodogóry i walczyłem z falami oceanu. Ale napróżno— doład nie byłem w Nowej-Hollandji. Za każdym razem wracałem na Horn, siadałem na krańcu

onego, poglądałem na południe i wschód, i gorzkimi zalewałem się łzami, jako więzień u kraty więzienia.

Wyrwałem się nareście z tego miejsca, i znowu wdrapałem się na wysokości środkowej Azji; przeszedłem się raz jeszcze po całej Azji w ślad za zorzą poranną i było jeszcze ciemno na ziemi, gdym dostał się do obranej pieczary w Tebajdzie.

Gdym trochę odpoczął, a w Europie zupełnie już rozświtało, pierwszym mojem staraniem było zrobić zapas wszystkiego, co potrzebne było dla życia, a naprzód kupiłem hamulec na nogi, doznawałem bowiem wielkiej niedogodności, nie mogąc inaczej miarkować moich kroków dla przypatrzenia się bliskim widokom, jak zdejmując z nóg chodaki. Para nadzianych na nie pantofliów, uśmierzyły pęd onych. W późniejszym czasie zwykle miewałem przy sobie dwie pary, gdyż zdarzało się często, że zrzuciwszy jedną parę, nie miałem czasu zabrać jej z sobą: zdarzało się to w pustyniach, kiedy herboryzując bywałem nagle napadany przez lwy, tygrysy i szakale. Wyborny mój zegarek w czasie szybkich przechodów, służył mi za wyborny czasomiar (chronometr.) Prócz tego, miałem przy sobie *sestant* i niektóre inne fizyczne narzędzia.

Korzystając z mglistej atmosfery, kilkakroć chodziłem dla nabycia potrzebnych mi narzędzi, do Paryża i Londynu. Wypotrzebowaawszy resztę czarodziejskich pieniędzy, w zamian ich—na zapłatę przynosiłem, bez trudu znajdywaną Afrykańską kość słoniową; wybierając zęby najmniejsze, aby nie utrudzały mi w podróży. Zrobiwszy zapas i opatrzywszy się we wszystko, co mi było potrzebne, rozpocząłem nowy rodzaj życia: życia ustronnego mędrca.

Krałęm po ziemnej kuli, rozmierzając wysokości gór, temperaturę źródeł i powietrza, to obserwując zwierzęta, to badając naturę roślin; biegłem od równika do biegunów, z jednej części świata do drugiej, zbliżając z sobą i porównując zdobyte doświadczeniem prawdy. Jaja afrykańskiego strusia albo północnych morskich ptaków i owoce, osobliwie tropikowych palm i bananów, służyły mi za pokarm zwyczajny. *Nicotiana* *) była dla mnie surrogatem szczęścia, a przywiązanie wiernego pudła, strzegącego moją Tebańską jaskinię, wystarczało mi za towarzystwo i spólcucie ludzi. Wesoło łasząc się do mnie, gdy wracałem z nabytymi skarbami, on mi dawał poczuć, że nie jestem sam jeden na ziemi.

Jedno zdarzenie zbliżyło mnie raz jeszcze do ludzi....

*) *Nicotins* był lekarzem króla franc. i pierwszy zaczął używać tytoniu za lekarstwo, zjadł roślinę tą nazwaną *Nicotiana*. (Red.)

Jednego razu, zbierając w zahamulcowanych chodakach mchy na brzegach Groenlandji, ujrzałem nagle pokazującego się z po skały białego niedźwiedzia. Zrzuciwszy pantofle, chciałem przeskoczyć przez środkującą skałę, na przeciwległą wysepkę. Jedną nogą stanąłem mocno na skałe, drugą podniosłem, i— buch!— upadłem w morze; jeden pantofel nie ostrożnie został na nodze.

Z trudnością wydobyłem się z niebezpieczeństwa: ale silne przeziębienie przejęło mię na wskrós. Dostawszy się na brzeg, całemi nogami rzuciłem się do Libijskiej pustyni, aby się rozgrzeć na słońcu. Słońce takim upałem zaczęło mi palić w odkrytą głowę, że zupełnie wybity z sił, skierowałem się znowu do Europy. Siłąc się nagłemi ruchami przynieść sobie ulgę, biegąłem chwiejącemi się krokami od zachodu ku wschodowi i od wschodu na zachód, przechodząc na przemian z dnia do nocy, z chłodu do ciepła. Jak długo wałęsałem się tak po ziemi, sam nie wiem. Silna gorączka paliła moje wnętrzości, ze strachem poczułem, że choroba moja jest niebezpieczną i że zaczynam tracić przytomność. Jak na moje nieszczęście zdarzyło się mi w omackach komuś nastąpić na nogę i zapewna nie nader delikatnie, bo dostawszy porządnego kułaka, sam upadłem bez zmysłów.

Kiedy przyszedłem do siebie, postrzegłem, że leżę na porządknie zaстанem łożu, stojącym razem z wielą innem w obszernej sali.

Któs siedział u węzłowia; po sali przechadzali się ludzie, chodzili od łożka do łożka, podeszli i do mnie, i zaczęli z sobą rozmawiać. Mówili o mnie i nazywali mię *N. 12*. A tymczasem na czarnej marmurowej tablicy na scianie,— to nie było złudzeniem,— wyraźnie wyczytałem złotemi literami wypisane moje imię: *Piotr Schlemihl-Skorochoch*.

Na tablicy pod nazwiskiem napisane były jeszcze dwa wiersze, ale byłem zanadto słaby, abym je mógł wyczytać i znowu zamknąłem powieki.

Głośno i wyraźnie coś przeczytali o Piotrze Schlemilu, ale ja nie rozumiałem ani słowa. Odemknąwszy oczy, ujrzałem przy sobie grzecznego mężczyznę i kobietę niepospolitej piękności, odzianą w żałobę. Twarze wydały się mi znajome, ale gdzie je widziałem, tego przypomnieć nie mogłem. Wiele czasu upłynęło, nim do sił powróciłem. Zawsze mię nazywano *N. 12*, i chociaż ja,— *N. 12*,— z powodu długiej brody uważany byłem za żyda, wszakże z niemniejszą troskliwością obchodzono się ze mną.

Że N 12 nie posiadał cienia o tём, zdawało się, nikt nie wiedział. Upewniano mię, że chodaki i wszystkie rzeczy, które przy mnie znaleziono, są schowane, i zostaną mi wydane za powróttem do zdrowia. Miejsce, w którém leżałem, nazywało się *Schlemihium*; co czytano codziennie o Piotrze Szlemilu, było poleceniem modlitwy za duszę jego, jako fundatora tego dobroczynnego zakładu. Grzeczny mężczyzna, którego widziałem przy mojem łóżu,— był Bendel, a prześliczna niewiasta,— była Minna.

Wróciłem do zdrowia od nikogo nie poznany, i sam dowiedziałem się jeszcze więcej. Znajdywałem się u rodziny Bendela, gdzie on za resztę nieczystych moich skarbów, ufundował szpital dla ubogich chorych, pod mojem imieniem, w którém cierpiący, codziennie błogosławia pamięć moją. On sam był opiekunem tego *Domu Ochrony*. Minna została wdową: nieszczęśliwa sprawa kryminalna pozbawiła Raskala życia i większej części jego majątku. Rodzice Minny już nie żyli; a ona była wdową, dobroczynną i wylaną dla pociechy spółbliźnich.

Jednego razu rozmawiała z Bendelēm przy łóżku N. 12.

—«Czego się Pani narażasz tu na zaraźliwe powietrze? Czyż los Pani jest tak okrótny, abyś dobrowolnie się chciała zabijać?»

—«Nie, panie Bendel, odkąd skończył się długi mój sen cielesny, i ja przebudziłam się w duchu, odtąd czuję się lepiej i ani żądam, ani lękam się śmierci. Poglądam dopiero jaśniej na przeszłość i przyszłość. I czyż nie z podobnem uspokojeniem i szczęściem w duszy oddajesz dopiero usługę takim pocziwym sposobem swemu przeszłemu panu i przyjacielowi!»

—«Tak pani, masz słuszność, i ja stokrotnie zanoszę dzięki Najwyższemu! Dziwnym był los nasz, piliśmy nierozważnie z pełnego kielicha słodyczy i goryczy. Spełniliśmy go do dna. Wszystko zda się, było tylko próbą i chyba dopiero, zapasłszy się w mądrość nie ziemską, rozpoczniemy rzeczywistą czynność żywota. Czynność ta nowa, spokojna; nie żądamy wrócić przeszłości, a radzi jesteśmy,— że ona była taką, a nie inną. Czuję coś w duszy swęj, co mi mówi: że przyjaciel nasz teraz szczęśliwszy niż był kiedykolwiek.»

—«I moje serce mówi toż samo!» rzekła prześliczna wdowa. Oboje odeszli od mojego łóżka.

Rozmowa ta uczyniła na mnie głębokie wrażenie; sam nie wiedziałem, czy mi odkryć się przed nimi, czy odejść od nich niepoznanym. Wreszcie zryzykowałem się, kazałem podać papieru i ołówek, i napisałem:

—«Wasz przyjaciel dopiero szczęśliwy: cierpienia jego są cierpieniami pojednania.»

Potem poprosiłem, aby mi dano moje odzienie. Przyniesiono klucz od komody, stojącej przy mojem łóżku, w której znalazłem wszystkie swe rzeczy w całości. Odziałem się, zawiesiłem przez plecy na czarnej węgierce botaniczną kobiałkę, w której znalazłem jeszcze mchy północne; wdziałem skorochody, położyłem bilecik na łóżku; a równo z otworzeniem drzwi, byłem na drodze do mojej tebańskiej jaskini.

Śpiesząc po brzegu Syryjskim, po którym ostatni raz oddalałem się z domu, postrzegłem bieżącego ku mnie wiernego psa—figaro. Stęskniwszy po mnie, sam jeden w jaskini, biędne zwierzę wyszukiwało śladów moich. Zawołałem po nazwaniu. Z hałaśnieniem szczekaniem i skomleniem nieuhamowanej swój radości, rzuciło się do mnie poczciwe psisko! Wziąłem go pod pachę i zaniósłem do jaskini.

Wszystko było w dawniejszym porządku. W miarę wzmagania się sił, zaczynałem znowu dawniejsze zajęcia i dawny porządek życia. Wszakże w przeciągu całego roku nie śmiałem narażać się na poddmuchy północy— stały się one dla mnie nie do zniesienia...

I teraz żyję takim sposobem, kochany mój przyjacielu. Skorochody moje są nieznoszone, chociaż polegając na zdaniu pewnego uczonego naszego archeologa, trochę lękałem się o nie. Są one zawsze mocne, lecz moja własna siła słabnie. Jedna pocięcha została się dla mnie, że utraciłem tę siłę, tę potęgę dążąc do jednego stałego celu, w jednym raz obranym, kierunku... Głębiej, niż ktokolwiek przedemną, badałem naturę ziemską tam, gdzie była dostępna dla moich chodaków; badałem jej kształty, wysokość, temperaturę, przemienność jej atmosfery, zjawiska magnetycznej siły, i wszystko co na niej żyje, a w szczególności moje ukochane rośliny. Najdokładniejszym sposobem i w jasnym porządku wyłożyłem fakta w kilku dziełach i zlekka wyłożyłem w kilku rozprawach moje wnioski i mniemania o nich. Prócz tego dokładnie oznaczyłem jeograficzne położenie środkowej Afryki, północnych podbiegunowych stref, wewnętrznej Azji i wschodnich jej brzegów. Moja historia korzeni roślinnych obu światów (*Historja stirpium utriusque orbis*) jest częścią Flory powszechnej ziemskiej (*Flora universalis terrae*) i wchodzi w skład mojej *Systema naturae*. Sądzę, że nie na próżno pomnożyłem liczbę wiadomych gatunków roślin więcej

niż o część trzecią; zrobiłem też coś i dla systematu jeografii roślinnej. Obecnie zajmuje mię moja *Faunia*.

Przed śmiercią postaram się oddać me rękopisma Krakowskiemu Uniwersytetowi. A ciebie, kochany mój Szamisso, wybrałem na depozytora mojej cudownej powieści. Niech posłuży, kiedy już mnie nie będzie na ziemi, za przykładową naukę dla ludzi tego świata! Żyjąc pomiędzy ludźmi, naucz się przedewszystkiem, mój przyjacielu, cenić cię swój nasamprzód, a potem złoćto,— jeżeli zaś chcesz żyć tylko dla siebie jednego,— rada moja na nic się tobie nie przyda!...

E x p l i c i t.

«Niech zrozumie, kto zrozumieć może!» *).

Romuald Podbereski.

Petersburg.

*) Myśl powyższej powieści wzięta jest z fantastycznej powieści niemieckiego poety *Adalberta von Szamisso*. Jakkolwiek niektórym dobrodusznym czytelnikom może się ona wydać tylko czysto-fantastyczną, napisaną bez dążności, jedynie w celu zahawienia próżniaczej gawiedzi,— zawiera jednak głęboką prawdę, sercem poety przeczuć, odgadniętą, a oku pospolitemu niedostępną. Pewne powody wynikłe z wyłączonego położenia na świecie, z którym się tak zlewaly myśli, uczucia i okoliczności w pewnej epoce życia mego, były przyczyną do obrania treści tej powieści. .. Dla tego miałem od innych znajduję w niej rzeczy nieodgadnionych. Strata drogich osób, tęsknota za swemi, dotknęły czułą stronę serca. .. Proszę więc nie brać tego poetycznego utworu za prostą powiastkę dla ubawienia dzieci dorosłych, napisaną. Zaraz na początku widzimy obraz, jak biedak w zetknięciu się z bogaczem, utracą uczucie indywidualności, mimowolnie wyzuwa się z osobistości,— a z czasem może przyjsć do zatraty zupełnej osobistej godności— aż do zaprzeczenia jednego ze swych ludzkich przymiotów. Człowiek prawy, z przejęciem miłością dla ludzi sercem w tém zetknięciu się tracąc swoją niezależność, staje się bezrozumnym halwanem, traci samodzielność myśli i charakteru, z istoty samoistnej, pełnej ducha i zapalu, staje się bierną maszyną.

Wszystkiemu co żyje i co nie żyje, a co eksystuje pod słońcem,— Bóg da cien— własność— bez której nie może się obyć żaden przedmiot w naturze stworzonej. Kto ją straci, kto jej zaprze się lub poświęci innemu, traci swoją osobistość, traci prawo, które odebrał razem ze wszystkimi tworam i na ziemi. Poeta w obrazie zmysłowym przedstawia do czego dowodzi człowieka wyrzeczenie się jednego z najmniejszych atrybutów człowieczeństwa natury: co w świecie fizycznym toż samo i w moralnym... P, wycierpianych mekach zaparcia się, bohater przychodzi do stanu istnienia cicho-skromnego, niezależnego i dalekiego od ludzi. Smulne doświadczenie uczy go, iż rzadko oklaski i fawory tłumu są nagrodą talentu, zasługi i prawdziwej a ukrytej cnoty,— że gawiedz ugania się często, nawet prawie zawsze, tylko za pozorem cnoty— tylko za cieniem....

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



F

2689